



ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 20 zł.

W numerze:

TADEUSZ BREZA
Spacer byłego minist.

IAN KOIT

Wakacje z
Sainte-Beuve

Rok IV

Warszawa, dnia 5 października 1947 r.

Nr 40 (149)

WALDEMAR BABINICZ

W dziesiątą rocznicę strajku „Dziennika Porannego”

Dokładnie przed dziesięć laty obiegła stolicę sensacyjna wiadomość: w lokalu „Dziennika Porannego”, półoficjalnego organu komisji porozumiewawczej związków zawodowych pracowników umysłowych, wybuchł strajk okupacyjny. Zastrajkowali pracownicy redakcji, administracji, ekspedycji w ilości ok. 60 osób, w odpowiedzi na zarządzenie ówczesnego prezesa rady ministrów, który powołując się na całą kolekcję istniejących ustaw zabronił „wydawania, publikowania i rozpowszechniania dziennika, zagrożającego bezpieczeństwu publicznemu”. Prasa okupacyjna i wszystkie czerwoniaki podały tę wiadomość pod szałnistymi tytułami, zapominając ją w soczyste, zjadliwe komentarze. Jedynie w „Robotniku” M. Niedziatkowski napisał protestacyjny artykuł, udzielając jednocześnie na łamach swego pisma miejsca redakcji „Dz. P.”, na czas trwania zawieszenia pisma.

Właścicielem pisma była spółdzielnia wydawnicza „Res”, na której czele stał przedstawiiciel Z. N. P., obecny jego prezes, Kazimierz Maj. W skład zespołu redakcyjnego wchodził: A. Wiczorkiewicz, St. Grostern, J. Borejsza, W. Babinicz, J. Krawczyńska, H. Dąbrowska, W. Lencki, E. Kicyła. Dyrektorem wydawnictwa był J. A. Wiącek, kierownikiem administracji — H. Polak, buchalterem — J. Niewęglowski. Nadto stałymi współpracownikami byli: W. Wasilewska, W. Rogowicz, Wiktor Grosz, W. Jampolski, K. Winkler i wielu innych wybitnych publicystów demokratycznych, z których większość zginęła w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Zawieszenie pisma poprzedziły liczne, niemal codzienne konfiskaty poszczególnych artykułów lub felietonów, a często i całych numerów, przy czym policja zabierała nakład w drukarni już po wydrukowaniu. Straty więc były duże, mimo to gazeta szła jak woda, zwłaszcza gdy wychodził drugi nakład po konfiskacie.

Szefem cenzorów był wówczas radca Jędrzejewicz, usłużny, bardzo układny pan, zastępujący się często autorytetem „Wołodzi” (osławionego wojewody Jaroszewicza, zmarłego przed kilkoma miesiącami w Anglii).

Zwykle późnym wieczorem po złożeniu materiału redakcyjnego posyłałymi mokre jeszcze odbitki do „rady” Jędrzejewicza, a w godzinę później odbywał się taki oto dialog, utrzymamy z reguły w tonie niezwykle uprzejmym.

— Nisko się kłaniam redaktorowi. Mówi Jędrzejewicz.

— Najniższy sługa pana radcy dobrodzieja.

— Z satysfakcją przeczytałem wasz numer. Bez zarzutu.

— Można więc na maszynę?

— Jeżeli o mnie chodzi — oczywiście. Chyba że stary wstanie jutro lewą nogą i nie spodoba mu się ten artykuł o Hiszpanii (Borejszy).

A ten felietonik o chłopcach z Goledzinowa — wprost malutkie arcydzieło. Wyobrażam sobie minę Sławoja. Molitkę pewnie znowu będzie interweniował za tego czarodzieja Schachta. Poza tym wszystko bez zarzutu. Co do wstępnego, to sami przyznacie, że przecież to czysta komuna. Dajcie sobie spokój z tym światem pracy. A o Borezie pisać nie można. Podawaliście specjalny okólnik dla prasy.

— Na miły Bóg, panie radco. W takim razie trzeba zmienić cały numer.

— Nie cały, nie cały, redaktorze. Odcinek powieściowy może przecież śmiało zostać. Chociaż ta historia z policjantem jest mocno prowokująca. Wyrzucić parę akapitów i numerek będzie jak ta lala. Pałce liżać.

— Dobrze, zrobimy.

I zaczynała się narada pośpieszna, na kolanie. Nad żelaznym stołem pochylały się głowy metrampaża, zecerów, nocnego redaktora. Wbiegał zadyszany korektor, telefon budził śpiących już błogo w swych łóżkach autorów.

Nazajutrz ledwie maszyniści skończyli pracę a zżaleni pracownicy ekspedycji uporali się z kolportażem, zjawiała się gromadka umundurowanych panów i groźne „konfiskata całego nakładu” stawała na nogi drzemających po nieprzespanej nocy zecerów, zielonych ze znużenia, ledwie hamujących wściekłość redaktorów, cały wrzeszcz bez wyjątku personel, nie wyłączając woźnego i stróża.

Nie pomagały interwencje. Szef cenzorów rozkładał beznadziejnie ręce:

— Przecież panowie wiedzą, że w Polsce nie ma cenzury prewencyjnej. Wczorajsza rozmowa? Ależ to

była zwyczajna pogadanka towarzyska. On (Wołodzia) odgraża się, że wszystkich panów zamknie. Coż ja? Proch marny. Ostatecznie nic strasznego się nie stało. Nadruk „drugiego nakładu po konfiskacie” i kilka białych płam przyczyniły się tylko do spopularyzowania waszego pisma...

Takie cyniczne rozmówki powtarzały się coraz częściej. We wrześniu ulegały konfiskacie nie tylko całe artykuły, akapity, lecz nawet poszczególne zdania, ba, wyrazy. Pamiętam, jak konfiskacie uległ tytuł urzędowej wiadomości PAF o ograniczeniach żywnościowych wprowadzonych przez Schachta. Red. S. Grostern, który łamał tego dnia numer, kazał złożyć tytuł „Jedno danie w Trzeciej Rzeszy — czarodziej Schacht udrzwia Niemców”. Cały nakład został za ten tytuł skonfiskowany, policjanci wyciągali kobietom gazety z koszyka, uwijali się po mieście, wylapując z tłumy chłopców, przed kioskami układano całe sterty „Dz. P.”, a lokal redakcji był dwukrotnie w ciągu dnia rewidowany. Nazajutrz, na skutek usilnych nalegań Jędrzejewicza, przeszedłem do Wołodzi (byłem wówczas sekretarzem redakcji). — Musicie ułożyć jakiś modus vivendi — perswadował łagodnie szef cenzorów — wódz życzy sobie bardzo z wami rozmawiać. Pamiętajcie, że jest on jednym z największych demokratów — niby Jaroszewicz — w Warszawie.

Poszedłem więc do owego wielkiego demokraty. Był po nieprzespanej, przepitej nocy. Obrzęka twarz, podpuchnięte, przekrwione oczy, drżące ręce wyciągnięte na biurku, obok kapelusza i jasne rękawiczki, nonszalancki sposób bycia i siatk ordynarynych „jęgionowych” wyrażań — oto portret Jaroszewicza w czasie wizyty.

— Jesteście ch... morżowe — przywitał mnie, wyciągając nie dbając rękę — pan wojewoda. Byłem tak zaskoczony formą przywitania i soczystym wyrażeniem w ustach urzędującego dygnitarza, iż otworzyłem usta.

Wołodzia z lubością powtórzył ułożony widać na poczekaniu zwrot i ciągnął niezrażony moją miną dalej.

— Jesteście, oczywiście. Bo wszyscy jesteście obcą agenturą. Obce agenty uwiły sobie gniazdko w Szwajcarii, a Morges leży w Szwajcarii. Tak, czy nie?

Byłem porażony tą argumentacją. — Istotnie — odpowiedziałem — Morges leży w Szwajcarii. Ale my z tym nie mamy nic wspólnego i nie jesteśmy obcą agenturą.

— Tra-la-la. A gdybyście nią byli, nie przyznalibyście się przecież również. No, powiedz pan? Czy przyznacie się, że jesteście na usługach obcego mocarstwa? Milczy pan? No więc, ja zawsze mówię, że minąłem się z powołaniem.

— To samo codziennie powtarza cała Warszawa, panie wojewodo.

— Powiniem być sędzią śledczym. Już ja bym od tych drani wszystko wyciągnął. Ot, pan na przykład, przecież pan się już właściwie przyznał, iż jesteście — cała ta wasza banda — na usługach obcego wywiadu. I żeby mi więcej ani słowa o Trzeciej Rzeszy. Oni tam z wami by się nie pięścili. My im wszyscy możemy d... liżać.

— Nie wszyscy, nie wszyscy, panie wojewodo.

— A ja panu mówię, że wszyscy, rozumie pan, wszyscy.

Twarz wojewody zrobiła się purpurowa od gniewu. Chwylił leżące przed sobą rękawiczki i wymachał nimi przede mną, ryczał już zupełnie nieprzytomnie:

— Wszyscy, wszyscy, wy i my. Wszy mogą tylko bezkarnie nas siedzieć, a nie na słońcu wlaźać. A wy jesteście wszawie towarzyskowie i wara wam psuć stosunki z Rzeszą, które my z takim trudem nawiązujemy. Powiedz pan swojej ferajnie, że ambasada niemiecka nie znieśnie waszych za... artykułów. I niech pan nie wybałuszka na mnie gaitów, bo ja wiem, co mówię.

Wołodzia zasałał się z irytacji, chwilę odpooczywał i wrzeszcząc zakończył niespodziewanie:

— Podaj pan komunikat do jutrzejszego numeru, iż wojewoda Jaroszewicz przyjął na audiencji przedstawiciela „Dz. P.”, z którym uzgodnił główne wytyczne linii ideologicznej pisma.

— Pan wojewoda chyba żartuje.

— Jakże tam żarty — machnął, jak naraz beznadziejnie ręką.

— Ja muszę zrobić wielką politykę. Mnie Sławoj mówił, że muszę wre-

ście wziąć się do czegoś większego. No co, wydrukujecie??

— Nie.

— No to całujcie mnie w... Wszystko to funta kłaków nie warte — mruknął mi to do mnie, ni to do siebie, gwizdnął przeciągle i skinął na znak, że „audiencja” skończona.

Wołodzia odpooczywał już sobie snem spokojnym gdzieś tam na obcym omentarzu. Niechże sobie spoczywa po znojmym życiu. Byłby raczej groteskową postacią w dziejach stolicy, gdyby... ale o umarłych lepiej nie mówić.

Rozmowa ta dała nam obraz stosunków panujących w sferach rządowych. Enfant terrible sanacji, Jaroszewicz, powiedział tylko jedno to, o czym szepciano w kulisach, o czym mówiono głośno w prezydium rady ministrów. Politykę na Wierzbowej kształtował grymas ambasadora niemieckiego, a stolicą Rzędowej w przełomowych chwilach rządził człowiek, mogący

Polskiego Radia — ogłosiliśmy strajk protestacyjny.

Wybraliśmy komitet strajkowy, wystosowaliśmy memoriał do zainteresowanych ministerstw, zwróciliśmy się z apelem do syndykatu dziennikarzy, do wszystkich związków zawodowych i postanowiliśmy nie opuszczać lokalu redakcji. Spaliśmy pokotem, jedliśmy to, co przynosił nam rodzina. Z jedzeniem nie było zresztą źle. Bez przerwy odwiedzały nas delegacje związków zawodowych, które zachęcając do wytrwania, znosiły papierosy, stodycze, wysmienia kawy. Jedną z koleżanek zażartowała, iż brakuje nam chyba ptasiego mleka. — Zrobi się ptasie mleko — odpowiedział któryś z przedstawicieli bodaj delegacji cukierników i tegoż jeszcze dnia pracownicy firmy Wedel przysłali nam wałkę wypełnioną pralinkami „Ptasie mleko”. Samopoczucie strajkujących było wspaniałe. Nic dziwnego: mieliśmy po-

nych władzę w Polsce była wprost zastrasżająca. Różni Zencykowscy z ul. Matejki, ludzie z nieprawdopodobnego zdarzenia, opracowywali genialne plany „sanowania” polityki wewnętrznej, straszliwy Zyboriski, dyrektor departamentu politycznego MSW, studiował instrukcje tajnej policji niemieckiej, które mu w drodze wymiany nadsyłał resort Himmlera, prezydent zanosił codziennie modły o długie życie i dalsze mądre rządy opatrnościowego meża (dosłownie) Sławoja, który przed zaśnieciem czytał „dla dodania sobie animuszu” „najpiękniejszą książkę w odrodzonej Polsce”... „Strzępy meldunków”. Gliniane nogi odkryte szczerline generalnym płaszczem — oto karykatura — symbol ówczesnych rządów.

Zastanawialiśmy się wówczas nad tym, jak bardzo był niepopularny rząd Składkowskiego nie tylko w kraju, ale i za granicą. Nawet Niemcy, którym przecież wyraźnie nadskakiwano, traktowali go pogardliwie. Pewien dziennikarz skandyński obliczył dokładnie termin, w którym miał runąć rząd Sławoja. Omylił się. Zapomniał, jak tłumaczył się później, że naród polski nie jest zdolny do rewolucji...

Rząd trzy razy rozpatrywał sprawę strajku w „Dz. P.” i za każdym razem odraczano ją do następnego posiedzenia, aż wreszcie Kościalski, minister pracy i opieki społecznej, podjął się załatwić ją ugodowo w ten sposób, aby „autorytet obu stron nie ucierpiał”. Rząd paktował ze stroną, liczącą około sześćdziesięciu głodźmórów, w tym kilkanaście kuso odzianych ekspedientek, maszyniści, sekretarek i kilku wybrednych aktywistów ogłoszeniowych. Gomieć redakcyjny marzył o wydaniu dodatku nadzwyczajnego: „Rząd obraduje w permanence nad postulatami komitetu strajkowego „Dz. P.” — Składkowski wniósł prośbę o dymisję”. W naszych oczach rząd był kompletnie skompromitowany. — Z tą chwilą, gdy król zaczął uważać niewielką grupkę swoich przeciwników za stronę i ze stroną tą pertraktował, w oddali zarysował się obraz giloty, a na niej krwawa głowa Ludwika XVI — powtarzaliśmy często za znakomitym historykiem francuskim. Wprawdzie dziwił Kościalski sam ścina głowę... krowom, baranom i owcom palestyńskim, ale — giloty na się sprawdziła. Właśnie w stylu polskim. Szlachetnie.

Wróćmy jednak do strajku. Wy wszyscy, którzy znacie Borejsze, Sp. Grostern, Wiczorkiewicza i z ich wystąpienia publicystycznych, świetnego pióra, zdolności organizacyjnych i innych wspaniałych kunsztów, nie wiecie, jak wiele potrafili ci ludzie wlać entuzjazmu w każdą sprawę, a jak serdeczni, troskliwi, zapobiegliwi byli w codziennym życiu, jaką życzliwość umieli otoczyć słabszych kolegów i koleżanki w okresie strajku. Nadto odkryliśmy w nich wówczas zdolności strategiczne, dyplomatyczne i umiejętność planowego dowodzenia. Dlatego też nas, uczestników strajku, skromna szarża wojskowa Borejszy wcale nie zdziwiała. Ulokować kilkudziesięciu ludzi w kilku pokojach, ułożyć plan zajęcia w ten sposób, aby każdy z osobna i wszyscy razem nie spędzali dnia beczynnie, aby wreszcie najsłabsi nie poddawali się depresji — to była sztuka nie lada. Przez siedem tygodni komitet strajkowy cieszył się zaufaniem wszystkich uczestników strajku, karność i dyscyplina były wzorowe. Śmiało się nieraz, iż mimo przyszłowiowego wybujałego indywidualizmu jesteśmy zawsze skłonni do kompromisów i jakoś nadajemy się do życia zespołowego. Okazuje się, że wszystko zależy od sprężystej organizacji i — co tu dużo gadać — od planowego, dobrze przemyślanego działania.

Zespół redakcyjny, korzystając z gościnnych łam „Robotnika”, polemiczował często z niektórymi dziennikami, zwłaszcza ze „Słowem”, w którym Cat szczególnie ostro występował przeciwko strajkowi, nazywając naszą demonstrację „heca inspirowaną przez komintern”.

Szkoda, że nie zachowały się rysunki, przedstawiające owych agentów kominternu — śpiewających co wieczór żołnierskie, patriotyczne piosenki pod batutą... st. strzelca z cenzurem — J. Borejszy. Grostern wydawał specjalne biuletyny o przebiegu strajku dla użytku członków syndykatu dziennikarzy, którego był prezesem. W Lencki pisał swoją książkę o Czechosłowacji. J. Borejsza — o Hiszpanii.

ALEKSANDER PUSZKIN przełożył JULIAN TUWIM

* * *

**Żył na świecie rycerz biedny,
Małomówny, prosty, twardy,
Z twarzą chmurną był i szpetny,
Duchem śmiały i otwarty.**

**Miał on kiedyś przywidzenie
Ponad rozum i pojęcie,
I głębokie zachwycenie
Tkwilo w sercu i pamięci.**

**Od tej chwili duszą spłonął,
Na kobiety patrzył przestaj
I do żadnej, aż do zgonu,
Już się słowem nie odezwał.**

**Szyi szarfa nie okrywał,
Lecz różańcem, a przyłbicą,
Gęstą kratą nasuniętą,
Oslaniała jego lica.**

**Cudownemu wierny snowi,
Techną miłością czystą, jasną,
A. M. D. na tarczy swojej
Rycerz krwią nakreślił własną.**

**I w pustyniach Palestyny,
Gdy po piasku i kamieniach
W bój pędzili paladyni,
Sławiąc damy swe z imienia,**

**— Lumen coeli! Sancta Rosa!
Krzyżach, dziłki, opętany,
Gromem wpał w bój — i groza
Z nóg waliła mużulmany.**

**Gdy w rodzinne wrócił strony,
Wiódł surowe dni, jak wiezien,
Wciąż milczący, wciąż stracony...
Aż samotnie, zmarł w obłędzie.**

być trefnieniem na dworze króla Sasa.

Rozumieliśmy, iż sytuacja nasza jest nad wyraz trudna, że musimy ostrożnie wypowiadać nasze myśli, jeżeli nie chcemy narazić się na najgorsze, tj. na zamknięcie pisma. Znosiliśmy sporo upokorzeń, a konferencje prasowe w M.S.Z., na których spotykały nas ciągłe afronty, były szczególnie uciążliwe. Znosiliśmy to jednak wszystko spokojnie, mając na uwadze dobro sprawy, nie wiedząc, niestety, iż los nasz był już dawno przesądzony i że czekano tylko sposobnej chwili.

Wpływy ambasady niemieckiej były coraz większe. Stosunki z Rzeszą, zgodnie z linią polityczną rządu, zacieśniały się coraz mocniej. Rząd dawał temu wyraz w przesładowaniu zrzeszeń demokratycznych, w licznych represjach, prowokacjach, które jakże często przypominały nam później metody postępowania gestapo. Aż przydła sławetna historia z ZNP. Zawieszono zarząd główny. Na ul. Smulikowskiego zaczął urzędować smutnej pamięci Musiał, który akta związkowe pieczętował znakiem ONR. Usiłował on nawiązać kontakt z redakcją „Dz. P.”, a gdy wysiłki te spełzyły na niczym, ogłoszono, iż sąd na posiedzeniu niejawnym postanowił zawiesić „Dziennik Poranny” „za szkodliwą, antypaństwową działalność, złośliwe przeistaczanie faktów, za szerzenie dywersji i paniki” itd. w tym duchu.

W odpowiedzi na te „zarzuty”, powtarzane w ciągu dnia kilkakrotnie przez wszystkie rozgłośnie

parcie całej pracującej stolicy. Władze usiłowały zastosować presję. Polecono wyłączyć aparaty telefoniczne. Codziennie więc przechodzili do nas pracownicy PASTY, majstrowali przy aparatach i wrzeszcząc zawiadomiali dyrekcję, że praca jest w toku. W godzinach wieczornych ktoś nas uspokajał telefonicznie, że nie dopuści do wyłączenia aparatów. To samo było z licznikiem za światło. Elektrownia przysłała rachunek „do natychmiastowego uregulowania”, kwiaty dla koleżanek i wałówek. To samo było z węglem (listopad i grudzień dawały się porządnie we znaki), który ktoś nam regularnie dostarczał raz w tygodniu. Na każdym kroku spotykały nas dowody sympatii i serdecznej życzliwości. Nawet przedstawiciele związku dozorców domowych wyręczał naszego stróża, który solidaryzował się z nami i odmawiał sprzątania ulicy.

Trzeba pamiętać, że działo się to wszystko zaledwie w dwa miesiące po głośnym strajku chiłopskim i rząd obawiał się, aby demonstracja pracowników „Dz. Por.” nie przekształciła się w masową groźną manifestację całego świata pracy. Potężny rząd Składkowskiego wraz z ogromnym aparatem politycznym nie mógł sobie poradzić z małą grupką pracowników gazety. Prawda, iż sprawa nabrała rozgłosu i że odwołując się do korespondencji pism zagranicznych mieli „pełne ręce roboty”, niektórzy zaś redakcje zamieszczały codziennie komunikaty z przebiegu strajku, niczym z placu boju, ale i indolencja czynników sprawują-

Wiczorkiewicz przygotowywał materiał do książki o sztuce, podpisany uzupełniał cykl nowel marynistycznych — zainteresowania, jak widać, były różnorodne, nikt jednak czasu nie marnował. Organizowano dyskusje, żywe dzienniki, prelekcje. Mieliśmy troskliwą opiekę lekarską w osobie dr. Brodzkiego — dziennikarza, który był naszym stałym gościem. Wanda Wasilewska i Janina Broniewska przynosiły codziennie wiadomości ze świata, informowały o przebiegu akcji w ZNP, o postawie robotników w fabrykach warszawskich, artyści z teatru Jaracza umiali nam swymi występami wieszczyć. Było ludno i gwarno jak... na Nowym Świecie. Zaczęliśmy uważać nasz lokal redakcyjny za dom eksterytorialny, przez cały bowiem czas strajku nie odwiedził nas ani jeden policjant, a rozmowy i pertraktacje z czynnikami rządowymi odbywały się telefonicznie, mimo iż teoretycznie aparaty były wyłączone.

— Jakież są wasze ostateczne postulaty? — pytał ugodowo Kościalski.

— Cofnięcie zawieszenia pisma i wypłacenie pełnych zaległych poborów wraz z odszkodowaniem wszystkim pracownikom wydawnictwa.

— Ależ rząd nie jest właścicielem pisma — irytował się Zyndram.

— Tak, ale rząd uniemożliwił właścicielom wywiązanie się z ich obowiązków płatniczych przez zawieszenie pisma.

— No, tak nie możecie stawiać sprawy. Zaprowadziłoby to nas zbyt daleko.

— Dalej niż się to panu ministrowi wydaje — brzmiała buńczuczna odpowiedź. Kościalski wzdychał, kładł słuchawkę i po kilku dniach telefonował znowu, wypytując troskliwie o zdrowie strajkujących, nad którymi usiłował ronić krokodyle łzy współczucia.

Trzymaliśmy się mocno. Mieliśmy ciągle poparcie społeczeństwa. Red. Bida, ówczesny szef prasowy w zarządzie m. Warszawy, przynosił kwiaty i bombonierki oraz zapotywał skromną apteczkę w leki. Mieliśmy więc wszelkie dane, by twierdzić, iż opiekę się nami półoficjalnie magistrat m. st. Warszawy wraz ze wszystkimi agendami, jak ZOM, elektrownia i gazownia, wodociągi i kanalizacja itp.

Po siedmiu tygodniach zagrożiliśmy głodówką i wywieszeniem czarnej chorągwi. Przysłał nam jakieś urzędniczy z odznaką ONR w klapie celem nawiązania rokowań. Usunęliśmy go z lokalu. Telefonował dygnitarz z MSW. Odpowiedzieliśmy, iż właśnie komitet strajkowy rozpoczął narady i nie możemy mu przeszkadzać. Zagrożono interwencją policji. Oświadczyliśmy, iż zabarykadujemy wejście. Czuliśmy się panami sytuacji. Wiedzieliśmy, iż rząd nie będzie chciał w centrum miasta, na Nowym Świecie, używać siły. Bał się, jak ognia, publicznych demonstracji, nie był pewien nastrojów ulicy, albo raczej wiedział, jak się ta ulica zachowa. Nadto agenci niewątpliwie informowali swoich przełożonych o istotnej postawie robotników warszawskich i ich stosunku do strajkujących.

Wreszcie przed samymi świętami Bożego Narodzenia sekretarz ministra pracy i opieki społecznej zaprosił nas na konferencję. Otrzymałszy pełną satysfakcję, Minister oświadczył, że przysłał nam całą żadaną sumę, zezwolenie na dalsze wydawanie pisma pod innym tytułem (jedynie nasze ustępstwa) przesłane zostało do komisariatu rządu.

Wygraliśmy strajk. Mimo septycznym wielu inteligentów, mimo pozornej siły rządu Składkowskiego, mimo faszyzacji i tolerowania metod i argumentów pałki. Wygraliśmy go spokojem, powagą, solidarnością, dyscypliną wewnętrzną, wiarą w zwycięstwo, w ostateczne zwycięstwo demokracji.

Dziś, gdy z odległości długich, strasznych dziesięciu lat patrzymy na ten niewielki stosunkowo epizod, wydaje się on nam zamglony i mało znaczący na tle okrutnych, ponurych wydarzeń wojennych. Niemniej jest on wolno sądzić, doskonałym przyczynkiem do charakterystyki rządów pomniejszych. Świadczy on nadto wymownie o postawie stołecznych światła pracy i wian należał swoje odzwierciedlenie w historii niezależnego dziennikarstwa polskiego.

Waldemar Babinicz

TADEUSZ BREZA

SPACER BYŁEGO MINISTRA*)

Kostopolski wracał do domu. Szedł pieszo z „Banku Ziemiański” go, gdzie od dwu lat urzędował jako członek zarządu. Nie od razu po swoim upadku zdecydował się zasiąść za biurkiem prywatnej instytucji. Początkowo wyłącznie pisywał, drukował wspomnienia i różne artykuły ekonomiczne, ale hućce wokół jego sprawy był za duży, aby ludzie mogli uwierzyć, że obecnie wystarczy mu być tylko pisarzem. Czytelnicy w jego występniach doszukiwali się aluzji, a ministrowie ataków. W swoim czasie nie zużył wszystkich środków obrony, kiedy koledy zaczęły się do niego dobierać, za łatwo zgodził się na domysły, toteż ministrowie uważali ją za manewr; nie odczuwał zdrowej ulgi po zwycięstwie, które by im przyszło ciężko, ani skrytycy i trochę ironicznego zadoktrynienia, że Kostopolski koniec końców przestaje na małym. Bał się go! Mimo że od dnia, kiedy to z takim sykkiem zagasił na firmamencie politycznym, minęło kilka lat, nadal ich denerwował swoją osobą. Wprost po tym krótkim przesileniu rządowym, które ostatecznie go wykończyło, na pół roku usunął się za granicę. Wyłącznie z powodu swojej dumy! Bezpośrednio po katastrofie nie chciał się ludziom pokazywać. Podejrzana sprawa! Czyż człowiek, który nie potrafił się pogodzić z tym, że będzie cierpieć w oczach ludzkich, może wzbudzać w ludziach zaufanie?

Kiedy zsa granicy powrócił, premier zaoferował mu lukratywne stanowisko w Łodzi. A mianowicie nadzór rządowy nad jednym z tamtejszych wielkiennicznych kołosów, który się do tego stopnia zapożyczył w kasach państwowych, że znalazł się pod bilansem. Kostopolski odczepnego nie przyjął. W trakcie urzędowania domagał się, żeby kraj zaczął pasa; walczył o to, by rząd sobie lekką ręką nie kupował limuzyn, a dla swoich ludzi nie mnożył synekur. Zapobiegał im, układał led, gdzie mógł, kiedy mu teraz jedną z najbardziej kuszących ofiarowano, pewien był, że nowy rząd chce go przede wszystkim upokorzyć. A tymczasem w łonie rządu wszyscy ministrowie marzyli o tym, żeby się z Kostopolskim przeprosić. Każdy z nich pamiętał jego wskazania i morały, ale nie uważał, aby one miały w wypadku samego Kostopolskiego zastosowanie. Był wyjątkiem. A czymże innym jest rządzenie jak nie tym, aby dla ogółu tworzyć prawa, a dla jednostek wyjątki? Kostopolski znowu nie chciał podporządkować się temu ujęciu. Upiętał się, żeby ludzie sobą niepokój. Wtedy to zabrał się do publicystyki i od razu poczuł wokół siebie znowu. Ledwie pióro wzięł do ręki, a już wszyscy ci, których uważał za stosunkowo sobie bliższych, zwrócili się do niego z biaganiem, aby je rzucił. — „Igrasz z ogniem!” — przestrzegali go. A on tylko to czuł, że drobniutki iskierki światła, które próbował jako autor kreskać, mobilizują przeciw sobie całą straż pożarną. Rząd nie śmiał mu artykułów konfiskować, ale ktoś stał koło niego majstrówką. Ukazywały się w opóźnieniu, schodziły na drugi plan, dotrzymywane do dnia, w którym wybuchła jakaś wielka bomba. Ten sam ktoś musiał również ciągnąć za inne nitki. Zakazywał gazetom z Kostopolskim polemizować. Wówczas Kostopolski napisał dłuższą rozprawę. Ale po sześciu miesiącach machnął na nią ręką. Zrozumiał, że w każdym poważnym wydawnictwie jego książka ukaże się dopiero wtedy, kiedy będzie na nią za późno, a wydrukowana u lichego rządu poleciła czuwać, w tym wypadku na pewno nie zaśpi sprawi!

Mniej więcej w tym czasie Kostopolski zaczął przemysłować o wyjeździe. Na dłużej! Na stałe! Pieniędźni swoimi nie od dziś szczęśliwie obracał. Wywodził się one z początków niezapamiętanych. Siegali czasów wojny polsko-bolszewickiej. Kostopolski pracował wtedy na wysokim szczeblu w wywiadzie, a poza tym raz po raz jeździł za granicę jako nieoficjalny agent dyplomatyczny polskiej lewicy. Przy tej sposobności operował sztabowym funduszem dyspozycyjnym i zarabiał na kursach. O tych pierwszych krokach na drodze ku fortunie wspominał w późniejszych latach z rumieńcem, ale nie palił go on zbyt. — „Co tam! Grzeszki młodzieńcze!” — uśmiechał się.

W rok po wojnie został attaché wojskowym najpierw w Rydze, potem w Londynie. Tu się rozwinęło jego zdolności. Miał nosa do spraw ekonomicznych, a stanowisko, które reżymował, dostarczało mu najprzeróżniejszych wiadomości. Chaotycznych! Ale nie dla niego. W tej epoce Kostopolski mocno się gotówkowo podciągnął. Ale jednocześnie pieniądze mu zobojętniały. Nie mógł go po sobie pokazywać. Czas się normalizowały. Dla coraz mniejszej ilości ludzi operacje Kostopolskiego mogły się przedstawiać jako całkiem czyste. Poza tym należało uważać: z kraju przychodziły niepokojące wieści. Najbliżsi z legionowych przyjaciół sygnalizo-

wali, że wielka legenda, na której urosł, rozpadała się; Piłsudski sam jakos zmarmotniał; na pierwsze miejsce pchali się niezastąpieni; krajem rządziło bezholowie! — pisali. Z takim trudem zdobyta wolność rządu jeden po drugim paprały. A motochowi w to graj! Kto mu po łbie da w dniu, gdy ten motoch spróbuje sięgnąć po nieswoje? Po najwyższą władzę! — denerwowali się. — Przecież nie ten rząd, który go nie umie wprząc do pracy, i to w momencie, kiedy już się zaczął po świecie wycisnąć, i przygotowania! Do następnej mety i do następnego konfliktu!

Wtedy na swoje nieszczęście minister spraw wojskowych przedniósł Kostopolskiego z powrotem do linii. Na jego dotychczasowe efektywne stanowisko wypromował kogos mającego teraz wpływy. Kostopolski otrzymał pułk, w którym pozostał aż do przewrotu majowego i na ówczesnych wypadkach zaważył jak mało kto. Zaraz się też wysunął. W awansach sam się wstrzymywał. Pragnął się podciągnąć i przygotować. Rozumiał dobrze, że zamach stanu to sposobność, żeby się rozwiazać dotychczasowe trudności, ale to nie jest sposób na wszystko. Rozpoczął się nowy rachunek. Nowe życie można rozpocząć przemocą, ale poprowadzić je dalej należało — głową! Kostopolski znowła przesunął się przez dwa czy trzy ministerstwa, wszędzie stając się szarą eminencją. — „Podczas podobnych przewrotów tylko najgłupszy nie potrafił się wysoko zacząć!” — mówił sobie — ale najmodrzejsi nie chcą! — Kostopolski wyraźnie się wzbraniał. Obrastał respekt. Nasłuchiwał uważnie, gdzie i który z dawniejszych legionowych kolegów palnął głupstwo i przyuczał się. Wypracał w sobie wielką cierpliwość, ale mimo że była duża, nie nastarczała za dwie. Bo Kostopolski miał niecierpliwa żonę! I to stosunkowo od niedawna. Piękną ziemianką córkę, którą poślubił po powrocie z Londynu jako pułkownika na kresach. Wrażliwa, inteligentna, męża rozumiejąca we wszystkim, prócz w tym jednym, że się nie wyrwał do dyplomacji. W końcu postawiła na swoim. Kostopolski wyruszył do Włoch jako ambasador. Od razu na naczelne stanowisko. W Warszawie bowiem to rozkosz być szarą eminencją, ludzie się w tym orientowali, ale przecież nie za granicą! W Rzymie Kostopolski kilka razy zadziwiał całością swoich kapitałów, ale już bez tej czujnej precyzji co w Londynie. O mały włos nie dostał raz w skórkę. Westchnął z podwójną ulgą, bo pieniądze nie utracił, a w niebezpieczeństwie, o które się otarł, ujrzał pierwiastek rozgrzeszający dla swoich dotychczasowych nieciekawych transakcji. Nie ponawiał ich. A zwłaszcza na poprzednich zasadach, bo niebawem Piłsudski wezwał go do Polski na dyktatora do spraw gospodarczych. Objął łączne teki przemysłu i skarbu, a nim naród ochłonił, slegnął jeszcze po stanowisko wicepremiera. Mimo że od pierwszego dnia doktryną swoją sprawił górze sanacyjnej zawód! Czy po to się wysiedlał w Rzymie? Czy po to się ścierał człowieka z faszystowskich Włoch, żeby ludzi uczył oszczędności i nawoływał o maszynę pożyczki z Ameryki? Ale każdy réjime, choćby się najgorzej zawiódł na jakiejś nominacji, zawsze lubi odczekać. Przez ten czas przysłuchuje się i przysłuchuje argumentom zle wybranego człowieka, którego dowodzenia mogą jeszcze w tej fazie brzmieć dla rządzących interesująco, gdy rządzonych już skręca z fatalnych skutków.

Kostopolski z miejsca wprowadził ostrą politykę podatkową. Tępił wydatki na luksusy. Ponieważ sam jako dygnitarz na boku doszedł do majątku, domyślał się groza u innych. Uważał, że przynajmniej część psim swedem zdobytych bogactw jego koledy powinni byli w tej sytuacji uruchomić, dając przykład jak można skarbować i pieniądze oszczędzać, a zarazem żyć na poziomie. Ale jego przyjaciół, którym tyle rzeczy teraz przychodziło za darmo, opanowało skąpstwo. Sądził, że chyba nie po to historia przeważała szalę na ich korzyść, żeby do jej tworzenia musieli ze swoich kieszeni dokładać. Był zdania, że skoro się okazało, że jakiś kierunek ma w państwie rację, to powinien mieć na wszystkich! A Kostopolski nie chciał w ogólnieść niczego. Scałał w budżetach nawet takie pozycje, które ministrów interesowały osobiście! Nie było na niego rady. Równie niemilosierny okazał się w stosunku do uplanowanych wielkich inwestycji! To już doprawdy przechodziło pojęcie! Przy jego polityce nie można było ani nikomu pójść na rękę, ani niczego wykonać w dużej skali; nie takiego, czym ty się warto było pochwalić. Z takimi przekonaniami człowiek nie powinien zostawać ministrem. Przecież nie jest w rządzie sam!

Ale nawet patrząc w oderwaniu od własnych ambicji i od własnych przyjemności, tylko wyłącznie z państwowego punktu widzenia, czyż Kostopolski się nadawał? Cóż potrafił? Cóż nowego stwierdził? Ze Polska jest krajem biednym! A to mi nowina! Właśnie dlatego, że była biedna, koledy jego postanowił pchnąć ją na drogę tych cudotwórczych rewolucji, które z po-

bitych Niemiec i z ubogich Włoch w błyskawicznym czasie uczyniły dwa cacka! Kostopolski na całej linii zawodził. Nie dokonywał żadnej ekwilibrystyki z zapasem złota, żadnych woit z Bankiem Narodowym, w którym się raptem znajdując pieniądze na publiczne potrzeby. Kostopolski miliardów nie wytrząsał z rękawa. Nie potrafił. Trudno. Tylko po co się stawiał? Dygnitarz, który nie jest zdolny niczego w wielkiej skali załatwić, niechże przynajmniej ludziom ułatwia życie w małej! Upadek Kostopolskiego był przesądzony! Wszyscy u góry co do tego się pogodzili, tylko czekano na moment.

Bania rozbija się na sejmie, na który Kostopolski udał się z lekkim sercem; wziął za dobrą monetę, że w ostatnich czasach koledy przestali się z nim przytębiać sposobnością wykłócać, i cieszył się. Miał tego dnia komisję budżetową. Zdziwił się widząc za plecami referenta kilkunastu generałów z generalnego inspektoratu. Dołąd przychodziło ich trzech, czterech; najwyżej po jednym z każdej broni. Przyprawiając ich ze sobą minister spraw wojskowych w charakterze rzeczoznawców. Na początku milczeli. Podczas referatu odegrali komedie. Żaden z nich się nie zmarszczył, żaden nie mrugnął. Dopiero kiedy przyszło do pytań i dyskusji pokazali, dlaczego polecono im się zjawić. Cel był jasny. Belweder nie chciał jednemu ze swoich najbliższych ludzi sam odczytać wyroku, i dia honoru Kostopolskiego nie życzył sobie, żeby wykonawcami wyroku byli ludzie cywilni. Pogrzebanie więc zostało Kostopolski przez wojskowych. Sądu swego nie obwiali w bawelne. Wynikał z każdej odpowiedzi: budżet był w pieniądzech na armię skąpy, w źródłach dochodów niewyłączny.

Kostopolski odwołał się do obecnych na sesji ekonomistów, nie wszyscy się zgadzali z jego metodami, ale przynajmniej rozumieli zagadnienie. Bo dzisiejsi wojskowi nie pojmowali niczego. Tylko żądali i żądali. Na początku każdego wystąpienia domagali się kredytów, pod koniec napomykając niefachowo o nowych możliwych wpływach. Kostopolski odcinał się nerwowo, przynajmniej wzrokiem zwolenników. Dwukrotnie w swoich replikach wymienił nazwisko słynnego profesora, jednego z największych znawców spraw gospodarczych w Polsce. Chciał go tym sposobem wyrwać ze stanu zamyslenia, w jakim uczone pozostawał. Profesor jednak nie poniechał kreskał na papierze, nie zabierał głosu; był najstarszy z obecnych i najdoświadczniejszy. Przenikał sytuację.

Nieraz z uwagą w tej salce słuchał głosu naszych oficerów. Kilku z nich uważał za inteligentnych; przede wszystkim samego ministra. Z nich tylko jeden tego dnia się pojawił, ale widąc jako obserwator; nie otwierał ust. Pociągnięcie wymowne! Stary znał je z czasów austriackich. Władza dobrze wie, do czego dąży, kiedy na oponentów wyznacza człowiekowi durniów! Nie przebieżesz ich uporą żadnym argumentem. Skoro nie masz racji, nie może być słusze ani jedno twoje dowodzenie. Winieneś odejść! Profesor wyrzósł jeszcze po jednym łańcuszku z obu stron czwartki papieru przyniesionej na posiedzenie. Zawierała ona konspekt rozmówienia, którym profesor zamierzał poprzeć politykę Kostopolskiego. Oczywiście należało temu dać spokój! Atak na komisji nie uderzał w doktrynę, o której można by rozprawić metodycznie, ale uderzał w człowieka. Co to naukę obchodzi!

Widząc uporczywość, z jaką stary milczy, jego młodszy koledy też

się nie odzywali. Wszystkich przy stole skośmił milczeniem! Zmował Pułapka zastawiona przez obecnych, i cywilnych, i wojskowych, w którą Kostopolski wpadł nie przygotowany sobie ani kontry, ani odwodów. Raz jeszcze skupił siły i przemówił godzinę. Wysłuchano go z powagą. Ale z jakim spojrzaniem! Bez nabożeństwa w oczach! Bez tego natężenia, z którym ludzie łowią byle słówko wrózek i ministrów, by spoza ich bałańności dowiedzieć się czegoś o swoim losie.

Przykrzej jeszcze robiło się Kostopolskiemu, kiedy zwracał wzrok na twarze wojskowych. Oficerowie nieprzerwanie kiwali głowami bez uśmiechu, z zacisznymi ustami. Jeden z wielką lysą czaszką, opuściwszy powieki, czynił to nieregularnie, jak gdyby w półuśpieniu odganiał muche. Inny energicznie ciskał łbem, jakby się irytował na cisny komierzyk. Większość jednak przeczyła Kostopolskiemu naraz i to manewrem skoordynowanym. Ale kiedy Kostopolski zakończył, nikt z nich nie poprosił o głos. Wtedy stary profesor odczytał napis, który od pierwszych słów Kostopolskiego wykalgrował na kartce: — „Ostatnie słowo oskarżonego!” — Sąd równie kwitują je milczeniem! Wstał i zaproponował zamknięcie dyskusji. Budżet wojska został odrzucony. Przynajmniej większością głosów! Wieczorem wezwał Kostopolskiego premier. Leżał w łóżku z nogą przetrąconą po automobilowym wypadku. — „Ma pan całą armię przeciw sobie!” — rzekł. — „Popsuł pan swoją sytuację w ostatniej chwili!” — „W ostatniej?” — zadziwił się Kostopolski. I zamilkł. Na stoliku, tuż przy łóżku premiera, ujrzał na uprzątniętym blaciku blok papieru. Okładkową, zieloną kartę miał podniętą, zwrócony tak, jak gdyby go gospodarz przygotował nie dla siebie, ale dla gościa. I pióro wieczne obok. Nawet odkręcone! Wtedy Kostopolski poprosił o dymisję i posłużył się tym wszystkim!

Ruszył w świat. Po kilku miesiącach wrócił. A kiedy, idąc do siebie, po raz pierwszy przedelfował Wiejską, dopiero w domu zdał sobie z tego sprawę, że przeszedł przed Sejmem. Żadnego wrażenia! Oczywiście że szwendać się tamtymi okolicami i umyślnie wybierać je sobie na spacer nie miał ochoty. Ale w żadnym wypadku ich ułunka! Podobnie jak sprawę czy ludzi! Zasadniczo postanowił utrzymywać się w kursie. Znowa jednak się przekonywał, że o tym nie decyduje. Znajdował się na szali. Ktoś inny według swojej woli drugą huśtał. Kostopolski wyczuwał drgnienia. Jakaś niepewna ręka obniżała ją coraz bardziej, obciążała. Kostopolski zdenerwował się. Przemuślił do uwagi, ale polityk wykonany, który się robi ostrożny, staje się przez to jeszcze bardziej podejrzany. Kostopolski przeszedł przez wszystkie fazy, które czekają człowieka odsuniętego od władzy. Próbował rzeczy najniewinniejszych i częstokroć błahych. Przy jednym się upierał: by ich próbowało wrażeń fatalne. Wreszcie Kostopolski zarekł się, postanowił się więcej nie pojawiać na żadnym oficjalnym gruncie. Zgodził się pokierować niewielką instytucją kredytową z kapitałem zakładowym ziemiańskim. Dla swoich interesów miał z tego wygode. Przy tym lubił szacunek, jaki mu w banku okazywano. Personal przed nim się korzył, cały zarząd tańczył, toż koledy z rady nadzorczej. W kołach urzędowych nadal jednak uważano, że Kostopolski bawi się w politykę. Ale to mu już było coraz

oobojętniejsze. Chciał jechać. Miec już ojczyzną za sobą. Raz z nią skończyć! Tymczasem im Kostopolski był mniej czynny, tym uważniej go obserwowano. Orientował się w tym, wyczuwał niepokój, jaki budzą u góry jego stosunki z właścicielami wielkich latyfundiów. A tymczasem po prostu on się związał z bankiem, a bank był związany z ziemiaństwem. Ale nikt z jego dawnych kolegów nie dawał się przekonać podobnie nieskomplikowanemu wytłumaczeniu. Mówiono sobie: Kostopolski prowadzi dalekosieżną grę. Widać został szefem sztabu konserwy i próbuje obejść dawnych przyjaciół i teraźniejszych wrogów wielkim łukiem na prawo. — „No, dalek, kawa na lawę!” — zawołał do niego niedawno minister Jaszcza. — „Kiedy odezwiesz się do nas wyraźnym głosem opatrznościowy mąż polskiej magnaterii? Jakież postawi warunki w tym historycznym momencie, kiedy réjime zacznie się oczyszczać z resztek ządostwa, masonerii i lewicy!” — Kostopolski obrzucił go wystraszonym spojrzaniem, a Jaszcza wysnuł z tego wniosek, że go zaskoczył. — „Nie chce pan ze mną paktować? Czy i moje poglądy są dla pana za radykalne?” — nacierał — „Zamierzam wyjechać!” — odparł Kostopolski. — „O! — Jaszcza skoczył. — A dokąd?” — „Do Ameryki Południowej!” — przyznał się Kostopolski. Jaszcza aż się cofnął z fotelem. — „Argentyna!” — szepnął sobie i aż go zatknęło to słowo. Argentyna była państwem faszystowskim, więc jakaś globowa intriga! Ucisł na tym rozmowę z Kostopolskim, który pomiarował, że wyznaniem nie uspokoił ministra; wręcz odwrótnie! Posmutniał. Przejedź już jechać. Zanim się zmówią. Zanim się opatrzą. Miał teraz wyłącznie obcą walutę. Tylko teraz paszport był mu potrzebny. I to ministerialny! Przecież z podobnym dokumentem nie zrobła człowiekowi pan z tecką. Gdyby Kostopolski nie poznał w nim urzędnika z biura sejmowego, nie uprzytomniłby sobie, gdzie się znajduje. Ale teraz rozrezał się wokół jak człowiek, który przejeżdża stronami młodości. Minął gmach i jeszcze patrzył za nim. Miał nawet przez sekundę ochotę zawrócić, kierowany takim samym automatyzmem, który każde dwu osobom zatrzymać się i przywitać tylko z tego powodu, że się nie widziały od lat. Wreszcie Kostopolski oderwał wzrok: skwer przed gmachem był teraz pusty, gmach również. Wszyszyi rambonami. — „Nawet się nie próbują naradzać!”

W pewnym momencie Kostopolski spostrzegł, że bawi się kluczami. Krecił nimi w powietrzu. Długo, srebrny łańcuszek owijał mu się wokół palca, raz skręcał, to wydużał. Przez krótką chwilę Kostopolski przetrząsnął pecek w ręku. Bo ktoś go miał. Pod palcami wyczuł misterny kluczcyk. Przyjrzał mu się. — „To śmieszne! — pomyślał. — To kluczcyk moich „pamiętek”. Co z nimi zrobię? Spalić, zabrać z sobą? Tych kilkadziesiąt dokumentów! Ach, Zawisanka. Cóż to za sprytna kobieta!” — uśmiechnął się. Żył z nią kiedyś blisko. Widział u niej album, do którego wklejała nieudane fotografie przyjaciółek. Kostopolski nie raz go przegledał i pokpiwał ze zdjęć. — „Wiesz — powiadała do tancerki — żaden mężczyzna nie wpadłby na podobny pomysł!” — A wtedy ona zmrużyła szeroko oczy i rzuciła zagadkowo: — „Nie udawaj, mój ministrze! Każdy z was kompletuje analogiczną kolekcję; tyle że w interpretacji męskiej!” — „Męskiej?” — zdziwił się. Ale mu nie odpowiedziało.

W kilka dni przysłała mu prezent, stalową kasetkę. Z objaśnieniem: — „Na dokumenty kompromitujące przyjaciół; nie znam polityka, który by ich nie zbierał!” — I dopiero wtedy Kostopolski ją zrozumiał. Zgadł! Też upolował ich trochę. Niektóre siegali czasów, kiedy jeszcze pracował w wywiadzie, inne nosiły daty świeższe, ale to wszystko była broń na jego przyjaciółki malokablowa. Niestety! Nie przeceniał jej. W czasach kiedy podobne rzeczy natrafiał, za mocno trzymał się w siedle. Nie przychodziło mu na myśl, że warto się w nie zaangażować. Kolekcjonował śmieszności, małe świństwa, gafy. Najczęściej wycofywał różne akta dla przyzwoitości, żeby swoich osłaniać; a zachowywał je, żeby się samemu pośmiać. W następnej fazie, kiedy po powrocie z Rzymu objął pierwszy resort gospodarczy, naczelnik wydziału o-sobowego zasypywał go materiałami kompromitującym podwładnych. Kostopolski z każdej personalnej teckki wymował żądło i kładł je do osobnej szuflady. Aż na koniec, kiedy powstał z tego cały faliol dowodów i donosów, wylał naczelnika, który siał postrach. — „W ten sposób kupiłem sobie urzędników, przynajmniej na czas, kiedy byłem ministrem!” — powiedział.

Nagle, gdy Kostopolski to sobie uprzytomnił, zelektryzowało go pewne wspomnienie. Tam w kasetce znajdował się kawałek dotyczący Jelskiego! No, jakże! Ale do tej pory o nim nie pomyślał, ani o tym, żeby go wyzyskać, ponieważ był pewien, że Jelski na pierwsze słówko o paszport ministerialny, wszystko uczyni, co będzie w jego mocy, go do głosu

oobojętniejsze. Chciał jechać. Miec już ojczyzną za sobą. Raz z nią skończyć! Tymczasem im Kostopolski był mniej czynny, tym uważniej go obserwowano. Orientował się w tym, wyczuwał niepokój, jaki budzą u góry jego stosunki z właścicielami wielkich latyfundiów. A tymczasem po prostu on się związał z bankiem, a bank był związany z ziemiaństwem. Ale nikt z jego dawnych kolegów nie dawał się przekonać podobnie nieskomplikowanemu wytłumaczeniu. Mówiono sobie: Kostopolski prowadzi dalekosieżną grę. Widać został szefem sztabu konserwy i próbuje obejść dawnych przyjaciół i teraźniejszych wrogów wielkim łukiem na prawo. — „No, dalek, kawa na lawę!” — zawołał do niego niedawno minister Jaszcza. — „Kiedy odezwiesz się do nas wyraźnym głosem opatrznościowy mąż polskiej magnaterii? Jakież postawi warunki w tym historycznym momencie, kiedy réjime zacznie się oczyszczać z resztek ządostwa, masonerii i lewicy!” — Kostopolski obrzucił go wystraszonym spojrzaniem, a Jaszcza wysnuł z tego wniosek, że go zaskoczył. — „Nie chce pan ze mną paktować? Czy i moje poglądy są dla pana za radykalne?” — nacierał — „Zamierzam wyjechać!” — odparł Kostopolski. — „O! — Jaszcza skoczył. — A dokąd?” — „Do Ameryki Południowej!” — przyznał się Kostopolski. Jaszcza aż się cofnął z fotelem. — „Argentyna!” — szepnął sobie i aż go zatknęło to słowo. Argentyna była państwem faszystowskim, więc jakaś globowa intriga! Ucisł na tym rozmowę z Kostopolskim, który pomiarował, że wyznaniem nie uspokoił ministra; wręcz odwrótnie! Posmutniał. Przejedź już jechać. Zanim się zmówią. Zanim się opatrzą. Miał teraz wyłącznie obcą walutę. Tylko teraz paszport był mu potrzebny. I to ministerialny! Przecież z podobnym dokumentem nie zrobła człowiekowi pan z tecką. Gdyby Kostopolski nie poznał w nim urzędnika z biura sejmowego, nie uprzytomniłby sobie, gdzie się znajduje. Ale teraz rozrezał się wokół jak człowiek, który przejeżdża stronami młodości. Minął gmach i jeszcze patrzył za nim. Miał nawet przez sekundę ochotę zawrócić, kierowany takim samym automatyzmem, który każde dwu osobom zatrzymać się i przywitać tylko z tego powodu, że się nie widziały od lat. Wreszcie Kostopolski oderwał wzrok: skwer przed gmachem był teraz pusty, gmach również. Wszyszyi rambonami. — „Nawet się nie próbują naradzać!”

W pewnym momencie Kostopolski spostrzegł, że bawi się kluczami. Krecił nimi w powietrzu. Długo, srebrny łańcuszek owijał mu się wokół palca, raz skręcał, to wydużał. Przez krótką chwilę Kostopolski przetrząsnął pecek w ręku. Bo ktoś go miał. Pod palcami wyczuł misterny kluczcyk. Przyjrzał mu się. — „To śmieszne! — pomyślał. — To kluczcyk moich „pamiętek”. Co z nimi zrobię? Spalić, zabrać z sobą? Tych kilkadziesiąt dokumentów! Ach, Zawisanka. Cóż to za sprytna kobieta!” — uśmiechnął się. Żył z nią kiedyś blisko. Widział u niej album, do którego wklejała nieudane fotografie przyjaciółek. Kostopolski nie raz go przegledał i pokpiwał ze zdjęć. — „Wiesz — powiadała do tancerki — żaden mężczyzna nie wpadłby na podobny pomysł!” — A wtedy ona zmrużyła szeroko oczy i rzuciła zagadkowo: — „Nie udawaj, mój ministrze! Każdy z was kompletuje analogiczną kolekcję; tyle że w interpretacji męskiej!” — „Męskiej?” — zdziwił się. Ale mu nie odpowiedziało.

W kilka dni przysłała mu prezent, stalową kasetkę. Z objaśnieniem: — „Na dokumenty kompromitujące przyjaciół; nie znam polityka, który by ich nie zbierał!” — I dopiero wtedy Kostopolski ją zrozumiał. Zgadł! Też upolował ich trochę. Niektóre siegali czasów, kiedy jeszcze pracował w wywiadzie, inne nosiły daty świeższe, ale to wszystko była broń na jego przyjaciółki malokablowa. Niestety! Nie przeceniał jej. W czasach kiedy podobne rzeczy natrafiał, za mocno trzymał się w siedle. Nie przychodziło mu na myśl, że warto się w nie zaangażować. Kolekcjonował śmieszności, małe świństwa, gafy. Najczęściej wycofywał różne akta dla przyzwoitości, żeby swoich osłaniać; a zachowywał je, żeby się samemu pośmiać. W następnej fazie, kiedy po powrocie z Rzymu objął pierwszy resort gospodarczy, naczelnik wydziału o-sobowego zasypywał go materiałami kompromitującym podwładnych. Kostopolski z każdej personalnej teckki wymował żądło i kładł je do osobnej szuflady. Aż na koniec, kiedy powstał z tego cały faliol dowodów i donosów, wylał naczelnika, który siał postrach. — „W ten sposób kupiłem sobie urzędników, przynajmniej na czas, kiedy byłem ministrem!” — powiedział.

Nagle, gdy Kostopolski to sobie uprzytomnił, zelektryzowało go pewne wspomnienie. Tam w kasetce znajdował się kawałek dotyczący Jelskiego! No, jakże! Ale do tej pory o nim nie pomyślał, ani o tym, żeby go wyzyskać, ponieważ był pewien, że Jelski na pierwsze słówko o paszport ministerialny, wszystko uczyni, co będzie w jego mocy, go do głosu

KOMUNIKAT OSSOLINEUM

Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolinekich, Wrocław, Szewska 37 jest obecnie jedynym wielkim polskim księgozbiorem publicznym na Ziemiach Odzyskanych. Fakt ten dostatecznie określa jej funkcję społeczną i tłumaczy troskę społeczeństwa o jej rozwój. Każda biblioteka rozwija się przez pomnażanie zbiorów drogą kupna, daru, wymiany i egzemplarza obowiązkowego. Ponieważ w wojnie Ossolineum nie zostało uszkodzone, w skład jego zbiorów wchodziło wiele egzemplarzy obowiązkowego, a szerepek fundusze nie pozwalają na zakup książek — pozostaje ofiarowe społeczeństwo. Ofiarowość ta nie zawiodła Ossolineum błędy od czasu jego powstania w 1817 r. umożliwiają nieprzerwaną kontynuację pomnażania zbiorów w różnych okresach Biblioteki.

Nawiązując do tej tradycji Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum zwróciło się do firm wydawniczych zrzeszonych w Polskim Towarzystwie Wydawców oraz do instytucji naukowych z apelem o nadsyłanie bezpłatnie egzemplarzy wszelkich wydawnictw, tak ukazujących się obecnie jak i wydanych w wojnie. Spośród tych firm wiele odpowiadało natchemniastowa przesyłką — niektóre, niestety, tylko jednorazowo, albo przysłały aktualne druki, a wiele nie zareagowało na apel w ogóle.

Podziękując wszystkim dotychczasowym ofiarodawcom, zamieszczamy poniżej listę wraz z podaniem ilości ofiarowanych książek, oraz podajemy wiadomości, że na tym miesiącu będziemy ogłaszać sukcesywnie dalszych naszych ofiarodawców, którzy do dnia 1.XI.1947 r. nadesłali do Ossolineum bezpłatnie książki. Liczyb w nawiasie oznaczają ilość książek.

- 1. Polska Akademia Umiejętności, Kraków (2).
- 2. Akademia Handlowa w Poznaniu (1).
- 3. „Awir, Katowice (10).
- 4. „Auto, Warszawa (1).
- 5. „Biuro Studiów Osadniczych — Prezydium, Kraków (10).
- 6. „Chłopska Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa (2).
- 7. „Czytelnik”, Warszawa (54).
- 8. „Dobra Książka”, Wrocław (6).
- 9. „Film Polski”, Łódź (1).
- 10. „Galeria, Łódź (1).
- 11. „Galeria, Łódź (1).
- 12. „Głęb”, Instytut Kartograficzny i wyd. J. Chodorowicza, Kraków (3).
- 13. Główny Urząd Planowania Przemysłowego, Warszawa (1).
- 14. „Horizon”, Przemysł (8).
- 15. Harcerskie Biuro Wydawnicze, Warszawa (11).
- 16. „Inkos”, Spółdz. wyd. Łódź (4).
- 17. Instytut Bałtycki, Bydgoszcz (26).
- 18. Instytut Śląski, Katowice (32).
- 19. Instytut Pracy Naukowej, Lublin (1).
- 20. Instytut Zachodni, Poznań (13).
- 21. Stefan Kamiński, Kraków (10).
- 22. Katedra Uniwersyteu, Lubelski (1).
- 23. „Książnica — Alina”, Wrocław (49).
- 24. „Księgarnia Akademicka”, Wrocław (5).
- 25. Księgarnia „Ossolineum”, Kraków (8).
- 26. Zygmunt Klukowski, Szczeczeń (4).
- 27. „Kultura Polska”, Łódź (9).
- 28. Kuratorium Okręgu Szkolnego, Toruń (1).
- 29. „Lanus”, Lublin (15).
- 30. Łódzkie Towarzystwo Naukowe, (1).
- 31. B. Matuszewski, Warszawa (3).
- 32. „Meta”, Katowice (6).
- 33. J. Mortkowicz, Warszawa (7).
- 34. „Nasza Księgarnia”, Instytut wyd. Warszawa (11).
- 35. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa (8).
- 36. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa (145).
- 37. Komitet PPR w Poznaniu (1).
- 38. „Płomień”, Spółdz. (1).
- 39. „Poligrafika”, Łódź (18).
- 40. Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa (2).
- 41. Polski Związek Zachodni, Poznań (1).
- 42. Poznańskie Tow. Przyj. Nauk (2).
- 43. Prawnicza Spółdz. Nakładowa, Zabrze (4).
- 44. „Przełom”, Kraków (3).
- 45. OO. Redemptorczy, Wrocław (7).
- 46. Spółdzielczy Instytut Wyd. Warszawa (5).
- 47. ks. dr. Schletz (7).
- 48. Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa (19).
- 49. „Urania”, Kraków (1).
- 50. Warsz. Spółdz. Mieszki (1).
- 51. „Wiedza i Rozmowa”, Dąbrowa Górnicza (10).
- 52. „Wojakowski Instytut Naukowy”, Bydgoszcz (20).
- 53. Wydawnictwo Ludowe, Warszawa (8).
- 54. Wydawnicze Biuro Naukowe, Gajewski, Zakopane (7).
- 55. „Znaki Ognia”, Kraków (1).
- 56. H. Żegiestowski (38).

*) Fragment powieści z lat 1937-38 pt. „Niebo i ziemia”, stanowiącej dalszy ciąg „Murów Jerycha”; uknie się wkrótce nakładem „Czytelnika”

Ale Jelski się zaciął! Dobra! Naturalnie, że miał na niego broń. Nawet nie taki filigran! I Kostopolski zakręcił w powietrzu raz i drugi kłuciami. — „Brawo! Wachałeś się bracie z lewica. I to jak! I to jak!” — Drastyczne szczegóły wyszperał ten naczelnik! Aż takie, że Kostopolskiemu nie wystarczyło informacyjnych arkuszów, które dla niego przygotował, skreślić i schować, ale musiał co przedźwonić do sztabu i ostaniać chłopaka osobście. Ba! Przecież Jelski jeździł do Gdańska ze słynną czerwonym Różą, którą w kilka miesięcy potem zasądono na dziesięć lat. — „Nie, człowieku — Kostopolski syknął — już ty mi się nie będziesz stawiał! Zachowałem kawałek stryczka, z którego ciebie odciąłem, i on mi przyniesie szczęście!” — Pęk kłuczy w rękach Kostopolskiego zawirował tak rażno, że o mały włos nie trafił przeganiającej go dziewczyny w policzek.

— Jezus, panie złocienki, toż mi pan wybie ostatnią parę oczu! — zakrzywała Krystyna, śmiejąc się do Kostopolskiego, pewna że się do niego spóźni; a oto nie, skoro minister osobście znajdował się jeszcze na ulicy — Dawno bym pana przeganiła — Krystyna zagryzła zębami — ale durny policjant nie dał mi przejść placem Trzech Krzyży na ukos. Od kilku dni nowe porządki!

Kostopolski odpowiedział cierpko. — Nauca nas chodzić, zanim nas wszystkich położy!

Ale Krystyna wolała dowiadywać się nowych szczegółów o ludziach i sprawach niż się na nich złościć.

— A może się jakieś awantury przygotowują i policja się wprawia w utrzymywaniu dyscypliny. Nie myśli pan?

Czarnymi oczami nerwowo przelatwała po twarzy Kostopolskiego.

— Ja przecież nie jestem ani z tych, którzy pilnują, żeby w państwie nie było awantur, ani spośród tych, którzy je organizują. To już raczy pan!

I grymasie uśmiechnął się do Medekszanki. W silnym świetle dziennym szwy, którymi miał pozszywaną brodę, pociętą na wojnie, występowały intensywniej. Ich cała sieć wyglądała jak namordnik zrobiony z delikatnych nitok.

— Ja! — Krystyna aż przystanąła z zachwytem, że Kostopolski ją posiada o podobne sprawy i wiąże jej osobę z ruchem; dumnie mu oświadczyła: — My się w ogóle nie zamierzamy wygłupiać na ulicy. To są maniere komunistyczne. Takie ryszotkowe gniewy ludu. O wa!

Lecz Kostopolski nie czuł już zainteresowania do podobnych tematów: niech ci co nawarzyli piwa, sami je piją! Zapobiegł więc dalszym pytaniom Medekszanki za pomocą komplementu:

— Wygląda pani prześlicznie. Pan Jelski do reszty straci głowę!

Zapisała:

— Oj oj oj, zaczyna się! Z panem trzeba uważać, bo z pana jest straszny kat na kobiety! Niech się pan przede mną zdradzi: jakie pan ma na nas sposobiaki?

Tak się zagadali, że przeszli na drugą stronę ulicy nieprawidłowo. Przed kamienicą Kostopolskiego już czekał policjant z mandatem. Wlepił im po pięć złotych kary. Krystyna zaczęła się wykićcać, ale policjant nie dawał się przekonać i jej śmiech odbijał się od jego twarzy jakby głuchej.

— Ja tu mieszkam! — pokazała na dom Kostopolskiego, nigdy nie tracąc zaufania do krętaństwa, choć biorąc na słowa, prawda kosztowałaby ją tutaj tyle samo co kłamstwo; była od niego drugą połową. — Mam latać naokoło!

— To mnie nie obchodzi — policjant odezwał się niegrzecznie; i jak to policjant raczej tego niż stanowczo. Kostopolski nie otwierał ust, wyjął portfel, udawał, że go scena nudzi, choć budziła w nim niezadowolenie.

— Ja nie płacę! — Krystyna się szarpała. — To idiotyzm! Niechże pan się odezwie, panie ministrze!

Posteronkowo dgrnął, przybrał postawę wyciekającą. W Kostopolskim niemiark jeszcze się wzmógł, były minister pamiętał że stale nosi w kieszeni dobrze przedawnioną legitymację, zmiażdżoną, który przygotował, dał policjantowi spojrzeć na fotografię. Policjant zaszalował, przepuścił ich.

W bramie Kostopolski zaczął się obszukiwać, a przed windą zaklął: — Do licha! Stałe gdzieś zadziwiam kłucze!

— Tu są! — Krystyna przypominała sobie, że kiedy skończył się zabawiać, schował je do palta. Bezceremonialnie wyszła rękę do zewnętrznej kieszeni i od razu na nie natrafiła. — O!

Ale zanim mu je podała, o jednym z nich wyraziła się z zachwytem.

— Jakież ten cudny, złociutki! Na pewno od bardzo misternej skrytki. Z lubczykami! Niech się pan przyzna.

I jeszcze w windzie przekomarzała się, groząc Kostopolskiemu paluszkami:

— Ale ja przestrzegam: niech ja zauważę, że pan mi czegoś do kieliszka namieszad, dam wypić panu Jelskiemu! Tylko czy pańskie lubczyki działają na mężczyzn?

Na myśl o zawartości kaszki oczy Kostopolskiego zamigotały ze złowrogą ironią, a Krystyna uciezła się, że jej żart spotkał się z powodzeniem. Zaklaskała w ręce:

— No, nareszcie się pan uśmiechnął!

Tadeusz Breza

HENRYK MARKIEWICZ

Wznowienie „Romansu Teresy Hennert”

Kiedy dwadzieścia parę lat temu pojawił się „Romans Teresy Hennert”, ówczesna krytyka przychyliła książkę z rozczarowaniem, i licznymi zastrzeżeniami. Załowało, że tytułowa sprawa — dzieje ponurej i okrutnej, „nie dobrej” miłości pułkownika Omskiego do pięknej pani Hennertowej, została zaledwie załatwiona, zaledwie przygotowana do przedstawienia w jakiejś nie napisanej powieści (Irzykowski), stwierdzono, że „jeśli chodzi o konstrukcję epiczną, książka jest przedziwną, rzadką potworkością” (Piwiński).

Krytycy mieli słuszną. Rzeczywiście, w powieści Nałkowskiej mamy jakąś atrofję głównej linii fabularnej. Dopiero w połowie utworu wyłania się ona spośród innych wątków, które niemal aż do końca nie przestają jej przesłaniać. Akcja retardowana jest przez wprowadzanie statycznych sytuacji i nowych, obojętnych dla niej postaci. Nie przypadkowo „Romans Teresy Hennert” sąsiaduje czasowo z „Charakterami” tejże autorki. Postaci książki — czy to przedstawione w bezpośredniej narracji czy przez monolog wewnętrzny innych bohaterów, to nic innego jak owe „charaktery”, tylko że uruchomione, pokazane w zmiennych sytuacjach i dialogach. Niezwykle ciekawy i interesujący styl, który wystarczy do retuszu stylistycznego, by urywki powieści pozwoliły się włączyć do wydanego poprzednio cyklu „Charakterów”.

Historia Omskiego i Teresy nie jest więc centrum skupiającym wokół siebie inne sprawy powieściowe: toczą się one niezależnie, swoimi torami, by w pewnym momencie zniknąć ze stron książki. Tak samo bez kompozycyjnego uzasadnienia, jak się pojawiają.

Ale czy naprawdę bez kompozycyjnego uzasadnienia? Gdyby książka była rzeczywiście tylko opowieścią o romansie Teresy Hennert czy też właściwiej — o romansie płk. Omskiego, twierdzenie takie byłoby słuszne.

Powieść Nałkowskiej jednak jest jednocześnie, a dla dzisiejszego czytelnika przede wszystkim, powieścią o historycznie określonym środowisku — o warstwie rządzącej w początkowych latach drugiej niepodległości. Jednostki środowiska jest czwartą jednostką, okupującą brak jednolitej akcji, jest zasadą konstrukcyjną książki.

„Romans Teresy Hennert”, to powieść psychologiczna. Jak pisał Stefan Żółkiewski w swej doskonałej przedmowie do książki „nie jest (ona) monografią wielkich złośliwych sił społecznych swego czasu, jest powieścią o ludziach. Mówi jacy byli. A jednak odstania prawdy czasu, nie tylko wewnętrzne prawdy człowieka”. Bo analogia z „Charakterami” była tylko częściowo trafna. Tam — postaci umyślnie wyabstrahowane, tu — starannie osadzone w realia swego czasu (przypomnijmy tylko opisy restauracji, wielkiego biura, zawodów hipicznych, rautu — przeznaczone jakby dla czytelnika innej formacji obyczajowej), a przede wszystkim — usytuowane społecznie. Z ich właściwościami i losów można dokładnie i poprawnie odczytać warunki społeczne, których są produktem, i warunki społeczne, które za sprawą ich działalności powstają.

Polska pierwszych lat powojennych. Aristokracja odegrała już swą rolę protagonisty historycznego procesu. Pozostałości feudalizmu odczuwane są nawet przez niektórych jej przedstawicieli jako „niemożliwy, sztuczny świat, zamknięty w szklanej bani, zawieszony ponad zupełną próżnią”. Inne siły społeczne zajmują najważniejsze pozycje, biorą na siebie rolę kierowniczą. „Zbogoceni mieszczaństwo, zubożala szlachta na dorobku, kupcy, handlarze, nawet reżymierzy, przeobrażający się dzięki fortunie w przemysłowców i fabrykantów” — oto warstwa, z której rekrutują się ludzie rządzący ówczesną w Polsce. Ona nadaje charakter obliczu stolicy, ona jest najwyższą instancją kulturalną. Pan Józef Hennert, którego kariera przypomina trochę historię Wokulskiego (tylko, że Hennert nie jest szlachckiego pochodzenia i nie wzięty udział w powstaniu) — nie musi już przechodzić jego wewnętrznych walk i upokorzeń. Ongiś subiekt, później samodzielny kupiec — w czasie wojny „wszedł... jako akcjonariusz do zarządu różnych przemysłowych i finansowych instytucji. Nie miał urzędu, nie miał swego biura, nie robił nic określonego. Robił pieniądze”. W wolnej Polsce to prawie wiceminister i — więcej niż wiceminister. (To zjawisko typowe: sztab wielkiego kapitału kieruje nieoficjalnie aparatem państwowym). Elżbieta Sasimówna, której babka mogła być przyjaciółką Izabelli Łękiej, jest urzędniczką w jego biurze i — kochanką, tyle tylko, że szalenie drogą. Ongiś pan Łęcki łaskawie pozwalał się ratować od ruiny przez

parweniusza, który był wielbicielem jego córki; ojciec Elżbiety za biega skrzętnie o Hennertową protekcję, przeprowadzając swoje niezbyt jasne interesy. Tak zmieniają się czasy. Tylko symbioza z mieszczaństwem ratuje ziemiaństwo od całkowitego zdeklasowania. Oczywiście symbioza typu — pasywniczego.

Polska, w której gospodarują i rządzą Hennertowie, odradza się jako państwo burżuazyjne. W ostatnich latach niewoli modlił się poeta: „Byś dał, co mają inni...”. I oto jest Polska — „i wszystko odbywa się jak u innych. Ma się własnych prezydentów i ministrów, własnych senatorów i generałów”. To zaspokaja „dumę narodową”, a raczej różne dreszczyki i snobizmy, które ją imitują w starszym pokoleniu mieszczaństwa. Ale profesor Laterna był ongiś rewolucjonista; ta działalność zawiadła go na dalekie zesłanie. Odrodzona

Tadeusza Sinki „Literatura hellenistyczna”

Dawno oczekiwany przez miłośników Antyku ukazał się tom drugiej literatury greckiej prof. U. J. Tadeusza Sinki, wydany przez Polską Akademię Umiejętności.

W drugiej części tomu pierwszego doprowadził autor historię literatury greckiej nie utartym zwyczajem do Cheroni, ani do śmierci Aleksandra Wielkiego, lecz do samego końca IV w. przed Chrystusem. Skończył więc epokę klasyczną na nowej komedii i twórczości Arystotelesa, którą uważa za bilans epoki klasycznej a nie jeszcze za otwarcie epoki hellenistycznej. I myślę, że słusznie, bo ten nauczyciel Aleksandra Wielkiego, to jeszcze grek klasyczny.

Imię Aleksandra Wielkiego oznacza wprawdzie koniec jednej epoki światowej a początek nowej, ale rozkwit tej nowej epoki nastąpił dopiero po rozbiciu państwa Aleksandra, monarchii uniwersalnej, ekumenicznej, na kilka absolutnych monarchii pod dyktando jego następców diadochów. Ci nowi panowie świata, królów hellenistycznych, mieli wielkie fundusze i chcieli ich używać na popieranie nauki, sztuki i literatury, by wykazać wyższość cywilizacji organu swego panowania nad barbarzyńcami. Najlepiej się to udało Lagidom w Aleksandrii.

Charakteryzując literaturę hellenistyczną na posiedzeniu Akademii Sinko powiedział o Aleksandrii: „Zbudowana w r. 279 na Faros w pobliżu tego miasta olbrzymia latarnia morska może być wzięta za symbol literatury aleksandryjskiej, z której szczytu promieniowało przez wiele wieków światło nauki na cały świat a promyki poezji z niższej kondygnacji dorzucali do niego trochę barw i woni”. Takiego warsztatu pracy naukowej jak Muzeum i Biblioteka Aleksandryjska nie było w Grecji ani w ogóle na świecie. I dlatego stwierdzają filolodzy, że wiek III jest szczytem hellenistycznej kultury, a tym samym starożytnego świata. Chociaż wieczne myśli były wcześniej przemysłane a wieczne dzieła sztuki wcześniej stworzone, to przez rozbudowanie umiejętności i przez panowanie nad światem uzyskiwały dopiero moc trwania i działania. To prawda, o ile chodzi o nauki ścisłe. Ci sami filolodzy stwierdzają bowiem, że poezja Hellenów nie wydała w tym czasie, w którym ich mowa panowała w świecie, już nic o wiecznym znaczeniu dlatego, że trzymała się starych form.

Sinko dodaje: sąd jest słuszny, ale objaśnienie niewystarczające. Widzi on przyczynę upadku twórczości poetyckiej i dramatycznej w epoce hellenistycznej w tym, że gdy przestało istnieć samorządne państwo, zerwał się związek poety z całym społeczeństwem. Gdy utonąła dawna „polis” w uniwersalnej monarchii Aleksandra Wielkiego, dawna ojczyzna Greków hellenistycznemu społeczeństwu zastępowała — dynastia.

Biblioteka Aleksandryjska! (He megalę bibliotekę) każdego, laika nawet w klasycznych umiejętnościach, słowo to wzrusza. Wspominamy twierdzenie Wella. że założenie Muzeum i Biblioteki Aleksandryjskiej stanowi jedną z wielkich epok w dziejach ludzkości, że jest ono prawdziwym początkiem dzieł nowożytnych. Z najwyższym więc zainteresowaniem szukamy w literaturze greckiej szczegółów o tym zakładzie naukowym starożytności.

Dowiadujemy się, że było w niej 490 tysięcy książek kilkutomowych. Cyfra imponująca. Było to niby światło zasilonej latarni. W głębi latarni mogło być oślepiające jasno, ale nikt tego na zewnątrz nie widział. Świat szedł starymi drogami nie przeczuwając, że posiadanie nauki, który miał go kiedyś zmienić do gruntu, został już rzucony. Ale w owej latarni aleksandryjskiej zapalał swe kaganki uczeni greccy, aż do najazdu arabskiego, a Arabowie przetłumaczyli



Zofia Nałkowska

czywszy wiele dzieł filozoficznych i naukowych zaniesi je do Hiszpanii, skąd w przekładach rozjaśniały mroki Europy średniowiecznej i doszły aż do naszych czasów.

Na treść drugiego tomu literatury greckiej Tadeusza Sinki składają się następujące wielkie działy: „Moralisci i filozofowie w III i II. wieku przed Chrystusem”, „Nauki ścisłe i przyrodnicze w Aleksandrii”, „Nauki humanistyczne i poezja hellenistyczna w III i II. w. p. Chrystusem”.

W dziale pierwszym omawia autor literaturę cyniczną i filozofię epikurejską i stoików. — Dowiedzą się czytelnicy, że Epikur (Epikuros) urodził się w Samos w r. 431 p. Chrystusem, że zajmował się fizyką i etyką. A co ważniejsze, że wprowadził do świata zjawisk bezprzymowności, którą jako wolną wolę przypisywał w etyce atomom duszy, dzięki niej możemy wybierać to, co odpowiada



Tadeusz Sinko

naszej naturze, bo jest przyjemne. Najwięcej przyjemności ma ten, co najmniej potrzebuje. Prawy epikurejczyk jest bardzo podobny do mędrca stoickiego, nie boi się bólu ani śmierci, wie że szczęście zapewnia niezależność od wpływów i dóbr zewnętrznych.

Jest to odmienny pogląd na epikureizm od powszechnie przyjętego. Jest to rozwiązanie legendy epikurejskiej, która do dziś się utrzymała. O tej legendzie epikurejskiej w Polsce od Reja poczynają a skończywszy na Świętokońskim ciekawie pisze Sinko.

Etyka stoików także nie każdemu jest znana w szczegółach. Ich kosmopolityzm i filantropia przechowana na gruncie rzymskim „humanitas”. Przeciwny wykształcony czytelnik wie coś niecoś o stoicyzmie z dzieł Cyserona i Seneki, teraz znajdzie się u źródeł tej nauki. Dowie się od Chrzyżypa i innych, że najsilniejszym nakazem natury jest instynkt samozachowawczy. że to ma jedynie wartość dla istot żyjących, co służy ich zachowaniu i przyczynia się do ich szczęścia.

Sądę, że tak modny dziś we Francji egzystencjalizm w filozofii stoickiej ma swoje źródła. Dział następny „Nauki ścisłe i przyrodnicze w Aleksandrii” zainteresuje przede wszystkim ludzi poświęcających się wiedzy ścisłej, ale każdy z rozkoszą przeczyta o Euklidesie i Archimidesie.

W trzecim dziale: „Nauki humanistyczne” najwięcej zainteresowania może obudzić część trzecia, zatytułowana „Septuaginta i historycy żydowski”, a ustęp „Możesz i Homer” dla wielu będzie rewelacją. Najobszerniejszy dział czwarty: „Poezja hellenistyczna w wieku III i II.” to właściwa historia literatury greckiej. Epika historyczna i mitologiczna, epika dydaktyczna, epigram, idylla, mima i wreszcie dramaty literackie. Ote główne rodzaje twórczości hellenistycznej.

Ogólne wrażenie odnosi się, że teatr hellenistyczny był na sabszą stronę hellenistycznej literatury, celuje ona w powieści „oetyckiej”, elegii,

Polska na pewno nie jest ziszczeniem jego ideałów. Cóż, kiedy Laterna o nich zapomniał: nie widzi dramatu w tym, że „idea urzeczywistniana stała się ideą sfalszowaną”. Przyjmuje życie z biernym zachwytem dla „zupełnie cudownego rozrostu rzeczywistości”, z ufności, że „życie ratuje się samo”. Formułę etyczną: wszystko zrozumieć to wszystko przebaczyć, zastępuje formułą poznawczą: wszystko przebaczyć to wszystko zrozumieć. Jest w tym jednocześnie przyznanie się do bankructwa ideologii, do bezradności nauki, która przestała rzeczywistość oceńać i nie ma ambicji, by nią kierować. Jest zaledwie sumą wiadomości, gromadzonych dziwnie, bez wyboru, bez hierarchii wartości.

I jest głęboki sens artystyczny i psychologiczny w tym chwycie kompozycyjnym, że Laterna, snując się od początku po kartach powieści, znajomy czy przyjaciel

epigramie i poemacie dydaktycznym. Miotłość w tej poezji jest ważnym motywem. Tematów szukał autorzy w kronikach lokalnych, w legendach, w powieściach gminnych. Zwrot poetów do tych tematów, to sięganie do źródeł tradycji ludu, którego przedstawiciele w pasterkach scylyjskich i dolno-italijskich Teokryt wprowadził do swych idylli. Polecam szczególnie każdemu zajmującemu się literaturą przeczytanie obszernego ustępu tego tomu Sinki o Teokrycie, choćby dla tego, że bardzo była wielka siła oddziaływania jego poezji na potomnych. Ze stworzony przez niego styl idylliczny błąka się w całej umysłowości europejskiej w różnych formach i metamorfozach. Tak w poezji jak i w malarstwie. U nas przez Kochanowskiego, Szymonowicza, Mickiewicza wpływ Teokryta dotarł aż do liryki współczesnej.

Na marginesie chcę zaznaczyć, że dopiero dzisiaj dowiedziałem się z książki Sinki, iż sielanka: „Oazys”, którą przetłumaczyłem i opublikowałem w roku 1918 w „Muścionie” uważając ją za najpiękniejszą z sielank Teokrytowych, nie jest Teokrytem, i że od czasu przygody Kineziasza z Mirriną nie było w literaturze greckiej podobnie obnażonej miłości fizycznej. Po trzydziestu latach dowiedziałem się, że przełożyłem tak niemoralny utwór naśladowcy wielkiego poety. A może filolodzy się mylą, może to jednak Teokryt i nie tak niemoralny. I dziś po odczytaniu jej, sielanka ta z wielu względów wydaje mi się małym arcydziełem. Ciekawie byłoby sąd dzisiejszych czytelników.

Absurdalne byłoby określenie Teokryta jako poety sentymentalnego, który otoczony kulturą szuka utraconej natury i opisuje ją w barwach ideału. Jest to poeta realistyczny. Cechą jego talentu jest wrażliwość akustyczna, barw u niego mało, lecz za to mistrzostwo wywoływania nastroju. Charakterystyczną cechą jego realizmu stanowi malowanie osób za pomocą drobnych cech ich charakteru. I także w stwarzaniu obrazów wielki nacisk położony na drobne szczegóły. Krosna pięknej Heleny, kolysonie dziecka przez Alkmenę, Amfitrion biegnący bosko na ratunek dzieci, król Augiasz kontrolujący wieczór swoje obory.

Wiele refleksji nasuwa się przy czytaniu literatury hellenistycznej o różnych formach twórczości literackiej, o wpływach Antyku na tworzenie się pojęć w dziedzinie sztuki u wszystkich ludów, we wszystkich wiekach.

Ale brak miejsca każe mi się streszczać. Zwracam jeszcze uwagę czytelnika na treść mimów, tych słuchowisk nadawanych przez poetów ku uciesze ludu aleksandryjskiego, które usunęły na dalszy plan wielki repertuar teatralny. W tych realistycznych obrazkach życia Hellenów ile prawdy, realizmu, nastroju i wdzięku. I jaka kopalnia tematów dla autorów współczesnych, którzy chcieliby pójść śladem Anouilha czy Giraudoux.

„Historia literatury greckiej” profesora Sinki jest książką tak udokumentowaną, uwzględniającą tak obszerną bibliografię przedmiotu a wyrażającą zarazem oryginalny i ściśle naukowy pogląd na dzieje literatury greckiej, na podstawie znajomości tekstów sąd wytrawnego filologa, że jest ona dorobkiem cywilizacji europejskiej.

Na początek, jak słyszałem, ma być tłumaczona na wszystkie języki słowiańskie. Dla czytelnika polskiego przedstawia szczególną wartość. Jak już zazaczyłem jej autor jest nie tylko filologiem, ale i miłośnikiem literatury polskiej. Cytatami z autorów polskich od Reja poczynają do Norwida, Staffa a nawet Przybosa ożywił jest jego tekst rozpraw filologicznych. Dla ludzi, którym Antyk był obcy, staje się on bliższy i łatwiej zrozumiały.

Ludwik Hieronim Morstin

wszystkich jej postaci, wtajemniczony i usilnie wtajemniczający się w ich sprawy — pozostaje do końca bierny i obojętny.

A młodsze pokolenie mieszczańskie, dorastające już w niepodległej Polsce? Posłuchajmy Wandy Hennertówny:

„Do licha, jest już przecież Polska, to jedno jest pewne, że jest. Nie taka, jakiejście pragnęli? No właśnie, jest taka, jaka może być. To jedynie jest ważne, to jedynie jest rzeczywiste — i to jest nawet cudowne! Po tych paru latach jest już taka, jakby nigdy nie była w niewoli, jak każde inne państwo: zrujnowana i rozkwitająca, waleczna i chciwa, bohaterka i paskarcka. Jest w czym żyć, jest w czym działać. Jesteśmy wreszcie obywatelami jak wszyscy na świecie — odpowiedzialni, walczący, winni. Już nie ofiary tylko — już winowajcy. Nic nas nie usprawiedliwia, nie ma już wykrętów. Ani „Chrystus Narodów”, ani „Kajdany Sybiru”, ani „carscy sypiacze”. Nic, nic! Jesteśmy tacy jacy możemy być — jaką jest zawsze gromada...”

„To jawne zerwanie z patriotycznym frazesem, którego po cichu i tak nikt nie bierze na serio, kult życia w niczym nieupiększonego i niewznieśliwego radona i bezwarunkowa afirmacja rzeczywistości — to, przy swej uwielbieniu, jedno z najtrafniejszych ujęć życiowej postawy młodzieży mieszczańskiej pierwszych lat po tamtej wojnie. Też młodzieży, która uwielbiała „Herostrata” Lechonia i zaczytywała się w pierwszych wierszach Wierzyńskiego.

Prawda, są i inni. Ukazuje się na chwilę ciężko chora Zosia Laternianka. Słuchając Hennertówny „uśmiechnęła się wyrozumiale, coś swojego lepszego wiedząca” — ona, która z Rosji rewolucyjnej, walczącej i głodnej, przywiozła wiarę w lepszy sprawidliwy ustroj społeczny. Jest także jej brat, Andrzej. Ale ta postać drobnomieszczańskiego rewolucjonisty nie została — może nie z winy autorki — dorysowana. Czy to tylko izolowany od masowych ruchów społecznych „mały bies”, „szkodnik”, polujący na drobne, naiwne tragedie ludzi, których miał opętać i uwieść” — jak sądzi Żółkiewski? Może wsłuchując się w jego bolesną rozmowę z ojcem, w gorzką ironię, z jaką opowiada o pacyfikacjach na kresach! — widzimy Andrzeja Laterna, poza kręgiem swej klasy, obok Cezarego Baryki w belwederskim pochodzie.

„Romans Teresy Hennert” to jednak więcej niż zbiorowy portret postaci znamienitych dla historii państwa polskiego pierwszych lat powojennych. Centralna figura powieści, płk. Omski, jest zrozumiała dopiero w perspektywie lat późniejszych od daty napisania książki. I na odwrót: jest cennym komentarzem do historii tych lat.

Dla najbystrzejszych nawet krytyków w chwili ukazania się książki postać i los płk. Omskiego były zaledwie egzemplifikacją tezy, że codzienne życie pokojowe wypacza psychikę bohaterów wojny (Irzykowski). I tylko. Spojrzenie dzisiejszego czytelnika, wnikliwie doświadczeniem historycznym całego dwudziestolecia, dostrzega poprzez Omskich i Gondziłówce przewrót majowy i rządy sanacji. Ci drobniomieszczaństwo w oficerskich mundurach będą — w interesach niemyślanych sobie mocodawców — faszystów Polskę, bo w warunkach kapitalizmu to dla nich jedyna droga utrzymania czy odzyskania awansu społecznego. Tylko w ten sposób wyzwoła się ich ambicje i siły — na razie związane i niepotrzebne, znajdzie zaspokojenie ich żądza przewodzenia i błyszczenia i — wola posłuszeństwa wodzowi.

Na razie porucznik Gondził wyczuwa pokornie w przedpokojach wszechwładnego Hennerta, kontempluje jego ułkon i uśmiech. Ale przyjdzie czas, gdy role się zmienią: w obliczu narastających sprzeczności obumierającego kapitalizmu twarda ręka i brak skrupułów Gondziłowa okaza się przydatniejsze od obrotności Hennertów. Pułkownik Omski tymczasem tylko w prywatnych rozmowach potępia tych, którzy posiadają odwagę myślenia; pogląd, że tych młodych „należałoby pozamykać i dać im rózgi” jest jego nieszkodliwym dziwactwem. Ale w niewiele lat później Omscy otrzymają możliwość realizowania swego programu. Ukazą wówczas swą prawdziwą twarz — bez niepotrzebnej już teraz maski poprawności.

Każda powieść, pisana jako „współczesna”, jest dokumentem tej „współczesności”, tak samo „Czarne skrzydła” jak „Ziemia w jarzmie”. Ale rzadko która wytrzymuje krytykę czasu i staje się — po latach — swą współczesnością obrazem historycznym. W literaturze pierwszych lat powojennych, obok „Przedwiośnia” Zeromskiego, tylko książkę Zofii Nałkowskiej przypada to w udziale.

Henryk Markiewicz

4) Opowiadanie to (str. 156) nb., ironicznymi peryfrazami i deminutywami zupełnie przypomina młodzieńczą manierę stylistyczną Zeromskiego.

JAN KOTT

Wakacje z Sainte-Beuve

Stefanowi Żółkiewskiemu

Uczcie się na Diderocie, mówią krytycy do pisarzy, nasłuchajcie Balzaka, wzorujcie się na Tolstoj! Ale jakich wzorów szukać ma krytyk, kogo winien nasładować, na kim się uczyć? Na Sainte-Beuve, tak powiecie, pisarze powinni odpowiedzieć krytykowi. Ale nie powiedzą... Nie powiedzą, ponieważ powszechnie wiadomo, że Sainte-Beuve pisał żółcią i jadem, że nie doceniał współczesnych i ponad nich przeniósł klasyków, że wreszcie ów „książę krytyków”, jak go do dziś dnia nazywają francuscy historycy literatury, popełnił w swoich słynnych „Poniedziałkach” błąd za błądem, wychwalał miernoty, nienawidził wielkich, poniżał talentowanych; nie miał widać ani smaku, ani gustu, ani wiedzy.

Sainte-Beuve był wielkim krytykiem, nie ufam powieściopisarzom, pojechałem z Sainte-Beuve na wakacje. Aby lekcja była pełna, wybrałem tomy, w których pisze o Stendhalu i Balzaku; chciałem poznać mistrza w chwilach, kiedy mierzył się z pisarzami, których podziwiał najbardziej.

I oto od razu trafiam: Mówią wszyscy dzisiaj o Beyle'u, pisze Sainte-Beuve, że był genialny. Zdanie to wypowiadają ludzie, do których sądu przywiązuję największą wagę, jak choćby pan Taine. Ale nie mogę się z tym zgodzić; znamem Beyle'a osobiście, rozmawiałem z nim wiele razy, bywałem w tym samym towarzystwie i nigdy nie zauważyłem, aby był genialny. I każdy, kto poznał dobrze tego „dystyngowanego oryginała”, przynajmniej rację.

Argument osobistej znajomości bardzo jest piękny i rzeczywiste trudno do odparcia. Ale dalej następuje portret, który warto już przytoczyć dosłownie: „Wyobraźcie sobie — pisze Sainte-Beuve o Stendhalu w „Poniedziałku” z 2 stycznia 1854 roku — huzara, ułana, kawalerzystę przedniej straży, który rusza często na przeciwnika w jego własnych okopach, a przy tym w swoich wybiegach i skokach uważa za punkt honoru podrażnić przyjacielską kolumnę, która wlece się zbyt wolno i ciężko, i zmusić ją do przyspieszenia kroku. To był ulubiony manewer i rola Beyle'a: tego romantycznego huzara, który pod imieniem Stendhal okrywał się jakimś skandynewskim płaszczem. Kpił sobie zresztą ze wszystkiego co uroczyście i sentymentalne, był dowcipny, awanturczy i złośliwy, wspaniał w fechtunku, świetny w parowaniu ciosów”.

Dla Sainte-Beuve'a krytyka była przede wszystkim sztuką partytetu, pokazywał pisarzy, tak jak wlecy pisarze odmawiają swoich bohaterów: w ruchu, geście, w dialogach, w towarzystwie, pośród znajomych, na tle społecznej i obyczajowej historii wieku. Po Sainte-Beuve dopiero portret psychologiczny w krytyce zaczął degenerować się i zwyrodniał w jakąś sztuczną osobowość literacką, mechanicznie wyciąganą za włosy z dzieł pisarza. Sainte-Beuve dawał portrety ludzi, którzy piszą, ale człowiek interesował go zawsze bardziej od artysty. Pisał zawsze o znajomych, i tak, jak pisze się o znajomych, nawet wtedy, kiedy znajomi ci żyli w XVII wieku, ubierali się na czarno i toczyli namiętne dysputy o granicach łaski w ponurym opactwie Port-Royal. Sainte-Beuve pisał o ludziach z towarzystwa i zawsze uważał, że talent jest wielką, ale wcale nie jedyną zaletą człowieka, którego przyjmują w dobrym towarzystwie.

Sainte-Beuve uczył się portretowania na klasykach, znajdujemy u niego strony, które precyzyjnie rysunkowi, jak gdyby rytego suchą igłą, nie ustępują najwspanialszym „charakterom” La Bruyère'a. Klasyczny portret zaczynał się od rysunku twarzy, stroju i ruchów, przedział w krytyce pomiędzy stroną psychiczną a fizyczną jest wynalazkiem drugiej połowy XIX wieku. Nawet najbardziej zawzięci psychologizujący spośród współczesnych krytyków, nie mówiąc już o czytelnikach, uznaliby niechętnie za wyłamania się spod konwencji i nietakt, gdyby nam przykład swoją recenzję z tomu opowiadań Adolfa Rudnickiego zaczął od opisu wspaniałego białego burnusa, w którym co rano pojawia się na balkonie, Sainte-Beuve natomiast, pisząc o Stendhalu, nie omieszka zaznaczyć, że w młodości „zyskał sobie pewien poklask na balach dworskich dzięki pięknemu łokom, a rękę miałą drobnią i zgrabną, z czego był nader dumny”.

Albo taki portret starzejącego się Stendhala z okresu, kiedy był kensulem w Civita-Vecchia: „Jego prosta i rubaszna uprzejmość, okrągła figura przypominająca Sylena i coś z Satyra we wszystkim, co mówił, zyskiwały mu cudownie sympatię żniwiarzy, chłopów pracujących w winnicach i młodych dziewcząt, które jak za czasów Horacego czerpały wodę z fontann Tivoli. I ten sam człowiek, który bez trudu odgrywał mógłby antycznego mima, odezwał tak wielkość i wzniosłość pod kopułą św. Piotra”.

Albo portret fizyczny poprzedza tylko właściwą biografię społeczną

na i towarzyską. Sainte-Beuve'a interesuje przede wszystkim, jak było naprawdę. Pisarz dla niego siedzi głęboko w swoim środowisku, w epoce. U tego wielkiego historyka, mieszczańskiego obrońcy dobrego smaku i admiratora klasyków, na próżno szukać jakiegos formalizmu, sztywności reguły i estetyzowania. Na uparte go można by dostrzec w Sainte-Beuve największego przed Tainem przedstawiciela krytyki socjologicznej; jego „Poniedziałki” są niezrównaną historią obyczajów literackich, wielką kroniką towarzyską, w której pilnie odnotowane są mody artystyczne i polityczne, intelektualne i krawieckie.

Kim był Stendhal dla Sainte-Beuve'a? Przede wszystkim „najmniej klasycznym ze wszystkich



Balzac

napoleońskich radców stanu”, potem inteligentnym turystą, erudyta, krytykiem, śmiałym animatorem idei, jednym z ludzi, którzy w okresie Restauracji weszli z największym kapitałem doświadczeń. „Beyle — pisze — jest jednym z pierwszych Francuzów, którzy mówią dosłownie wyszli ze swego domu i zaczęli porównywać...” I dalej (o sztuce trafnego cytowania) przytacza Sainte-Beuve jedno z najpiękniejszych i najbardziej stendhalowskich zdań: „Francuzi podali się do dymisji w roku 1814”.

Portret staje się coraz pełniejszy i właściwie cała francuska krytyka aż do początków XX wieku powtarza go za Sainte-Beuve. A więc: genealogia intelektualna — czysty wiek XVIII; dominanta charakteru — „la peur d'être dupé”; wybrane epoki — renesansowe Włochy, katolicyzm przed Lutrem; wzory kariery — siedemnastoletni marszałkowie napoleońscy i siedemnastoletni kardynałowie włoscy.

Równie trafnie charakteryzuje Sainte-Beuve literacką pozycję Stendhala w pierwszym okresie walk romantyków z klasykami.

„Namiętnie dowodził — pisze Sainte-Beuve o Stendhalu — że widzieli, którzy przyszli po rewolucji, po wojnach cesarskich, którzy nie czytali nigdy Kwintyliana, a przeszli wyprawę na Moskwę, szukając w teatrze innych i bardziej gwałtownych wzruszeń niż te, które zadawały dobre towarzystwo w roku 1670”.

I wreszcie z rzadką przenikliwością podkreśla Sainte-Beuve, nie nazywając go zresztą po imieniu,

jakobinizm Stendhala, jego antymieszczańskość. Wydobywa z zapomnienia i do dziś dnia mało znana broszura: „O nowym spisku przeciwko przemysłowcom”, w której Stendhal zaatakował saintimonistów, industrializm i utilitaryzm. (Broszura to zresztą dla historyków niezmiernie ciekawa, ostatecznie chyba echno (1825) rzymskiego kostiumu Wielkiej Rewolucji, o którym pisał Marx. Stendhal hasłem użyteczności społecznej przeciwstawia heroizm i rzymską wirtus).

Ala najbardziej Sainte-Beuve podziwiał w Stendhalu turystę: „najlepszego z turystów, człowieka, który nigdy nie napisał „Podróży do Jeruzalem”. (Autorem „Podróży do Jeruzalem” był jak wiadomo Chateaubriand). I krytyka: „krytyka nie dla publiczności, ale dla artystów, dla samych krytyków”. I kończy swój „poniedziałek”: „Kozak zawsze i wszędzie, kozak, który na prawo i na lewo kluje swoją lancą, ale kozak, który jest przyjacielem i sojusznikiem w roli k ytyka, oto cały Beyle”.

Następny „Poniedziałek” poświęca Sainte-Beuve powieściom Stendhala. I tutaj, niestety, trudno nam się z nim zgodzić. „Armanco” mu się wyraźnie nie podoba. Nie dostrzega w tej pierwszej powieści Stendhala ani krzyży talentu, chociaż trafnie odkrywa jej ukryty sens (powieść o impotencji), który expressis verbis odczytała krytyka francuska dopiero wiele lat później. Zarzuca Sainte-Beuve Stendhalowi to samo, co zarzucał potem Proustowi, a u nas „Lalce” Prusa — brak znajomości wielkiego świata, arystokracji i salonów. Z gorzką satysfakcją stwierdza ten wielki mieszczyk, szanujący głęboko towarzyskie hierarchie, że do roku 1830 salony Faubourg Saint-Germain zamknięte były dla parweniusz, dopiero potem byle artysta czy pisarz, jak choćby pan Balzac, mógł się do nich bez większego trudu przedostać. Przypomina mi to rozmowy z jedną z kuzynek Rzewuskich, wiośnią roku 1940 we Lwowie, która melancholijnie stwierdzała, że jej brababka Hańska popełniła, wychodząc za pana Balzaka, megalizację.

Nie zbyt wysoko oceniał Sainte-Beuve również „Czerwone i czarne”. Przypominał co prawda, że to przynajmniej „powieść, w której coś się dzieje”, ale w Julianie Soirelu dostrzegł jedynie „małego i wstrętnego potwora, który przypomina Robespierre'a, rzuconego w domowe intrzygi”. Postaci powieści nie były dla niego żywymi ludźmi, ale pomysłowo skonstruowanymi automatami, wprawianymi w ruch za pomocą dwóch lub trzech sprężyn. Największe jednak zastrzeżenia Sainte-Beuve'a są natury moralnej. Pisze, że Beyle był w życiu prywatnym człowiekiem uczciwym i honorowym, i wielką szkoda, że siadając do powieści zapomniał o swoich zasadach i „dostrzegł hipokryzję tam, gdzie istnieje jedynie szlachne poczucie przyzwoitości i miary, które zachować chcemy nawet w namiętnościach”.

W „Pustelni parmeńskiej” podoba mu się tylko początek i opis bitwy pod Waterloo. Potem raz i go Fabrycy, który „zachował się jak zwierzę, posłuszne swoim żądom, lub jak rozpustne dziecko, zaspokajające swoje kaprysy. Żadnej moralności, żadnych zasad honoru!”

I dodaje: „Po lekturze tej książki odczuwam potrzebę odczytania u nowo jakiegoś prostej, harmonijnej i bardziej ludzkiej powieści, gdzie ciętki nie byłoby zakochane w swoich siostrencach, gdzie biskupi nie byłoby takimi rozpustnikami i hipokrytami jak kardynał de Ketz za czasów swojej młodości, mogą być za to mniej inteligentni; gdzie trzcina, oszustwo, anonimowe listy i wszystkie szkaradziestwa nie byłyby uznane za rzecz zupełnie zwyczajną i obojętną; gdzie wreszcie pod pozorem prostoty i unikania efektu nie wciągano by mnie w tysiąc niemożliwych zakłaman i labirynt bardziej przerażający i kręty, niż na starożytny Krecie”.

Podziwiam zresztą, że na ostrzy sąd Sainte-Beuve'a o „Pustelni” wpłynął entuzjastyczny o niej artykuł Balzaka w „Revue Parisienne” z 1840 roku. Po raz pierwszy nazwano wtedy Stendhala geniuszem, a „Pustelnię” arcydziełem. Balzac, który był wtedy u szczytu powodzenia, potraktował Stendhala jak równego sobie. „Beyle — pisze — stworzył książkę, z której wzniosłość bucha w każdym rozdziale. W wieku, w którym ludzie rzadko znajdują tematy wspaniałe, po napisaniu koło dwudziestu tomów wyjątkowo inteligentnych, dał dzieło, które może zostać ocenione jedynie przez serca i ludzi naprawdę nieprzeciętnych. Napisał „Księcia współczesnego” powieść, którą by stworzył Makiewicz, gdyby żył na wygnaniu we Włoszech XIX wieku. Toteż największa przeszkoda dla zdobycia przez Beyle'a zasłużonego uznania płynie stąd, że „Pustelnia parmeńska” znaleźć może czytelników, przygotowanych do jej smakowania wyłącznie spośród dyplomatów, ministrów, obserwatorów, najwybitniejszych ludzi z wielkiego świata, najbardziej subtelnych artystów, krótko — pomiędzy tysiącem dwustu do półtora tysiąca osób, które stoją na czele państwa”.

Sainte-Beuve nie znośił, gdy powieściopisarze brali się do krytyki. Toteż naprzód dowodzi, że Balzac nie zna się na literaturze, potem, że nie ma poczucia śmieszności, a w końcu posuwa się aż do osobistej inwektywy. Twierdzi, że po śmierci Stendhala znaleziono w jego papierach kwit Balzaka na 3.000 franków, i że te 3.000 były zapłatą za pochwały W literaturze stendhalowskiej nie znalazłem nigdy ani słowa o tej sprawie i chociaż Balzac nie był szczególnie drażliwy w sprawach pieniężnych, przypuszczam, że jest to tylko złośliwy wymysł Sainte-Beuve'a.

Wielki krytyk szczerze nienawidził Balzaka. W karnetku zatytułowanym „Moje truczyny”, w którym upuści żółci przechowywał dla użytku potomnych, napisał: „Balzac jest lekarzem (i trochę: stręczycelem) chorób skórnych i sekretnych chorób limfy, coś pośredniego między Alibertem a Cullerierem (współcześni znachorzy). Jest w nim coś z poufałości felczerki, który od kuchni wchodzi do alkowy... coś z fryzjera i bawidamki. Wiele kobiet, nawet uczciwych, łało się na to nabrać Niegdyś wleczono takich pod sąd za rzuwanie uroku. Jest to handlarz damską galanterią, który sprzedaje, odkupuje... i prkurule”.

Od alkiwy zaczął Sainte-Beuve swoją pierwszą drukowaną recenzję o Balzaku. Pisze naprzód nie-

winnie, że za każdym wielkim pisarzem szedł orszak kobiet. Uwielbiał być przez kobiety i Chateaubriand i Lamartine. Ale zaraz potem złośliwie dodaje: „Ale jakie to były kobiety? Powiedz, kto cię uwielbia, powiem ci, kim jesteś?” W panu de Chateaubriand kochały się najwytworniejsze damy z wielkiego świata, subtelne, czule, eleganckie, wytworne. Pana de Lamartine uwielbiały melancholijne i marzące Elwiry. A kto podziwiał pana de Balzaka? Mieszczki z zapadłej prowincji, zawiedzione żony notariuszy i aptekarzy, stare panny cierpiące na wapory, kobiety trzydziestoletnie. Piękne zaiste wiebliele! Po „Kobiecie trzydziestoletniej” nastąpią nowe romanse o kobiecie czterdziestoletniej, pięćdziesięcioletniej, i nowy orszak kobiet.



Stendhal

Dodajcie jeszcze chore na błędnicę i ulomne...”

Ale Sainte-Beuve, miotając nawet największe złośliwości, nie przestaje być przenikliwym obserwatorem życia społecznego. W powstaniu nowej publiczności literackiej dostrzega trafnie wpływ Rewolucji Lipcowej, nadzieje i marzenia, jakie obudzili saintimonisci, pierwsze żądanie emancypacji, przemiany w życiu rodzinnym. „Uliczne zamieszki — pisze o roku 1830 — otworzyły drzwi do alkiwy. Od tego czasu drzwi do nieszczęśliwej alkiwy pozostały uchylone, co mówię? rozwarła na oścież, każdy może wejść, wyjść i wszystko opisać; wchodzi do niej już nie tylko poeta, spragniony stokłk tajemnic, ale niedyskretny lekarz wstydlwych chorób...” Wielki klasyk dostrzegł pierwszy podmuch naturalizmu.

Spoleczeństwo — pisał — ma takich malarzy, na jakich zasługuje. Literatura jest odbiciem społeczności, ale społeczność nasładowuje literaturę. Związka w naszych czasach — ubolewa w roku 1840 — wielki mieszczań, kiedy towarzystwo pomieszało się z bohemą, a światowcy prowadzą życie artystów. „Byłem świadkiem rodzinnego dramatu — pisze ze zgrozą — jaki zdarzył się w jednej z najlepszych rodzin. Opowiadał mi pewien sędzia, że kiedy zaarrestował męzatkę, która uciekła razem ze swoim amantem, nie potrafił z niej podczas przesłuchania nic wydobyć poza Balzakiem, którego recytowała całymi słowami”.

I dalej, ciągle w tym samym „Poniedziałku” opowiada Sainte-

Beuve, jak to niedawno w Wenecji najlepsze towarzystwo zabawiało się w odgrywanie scen z powieści Balzaka. „Przez całe lato widać było tylko Rastignaków, księżnę de Langeais i księżnę de Maufriigneuse, a zapewniamy mnie — dodaje melancholijnie krytyk — że niejedna z aktorów i niejedna z aktorów tej towarzyskiej komedii doprowadzili swoje role aż do końca”.

Nic dziwnego, że po takiej recenzji rozwścieczony Balzac wykrzyknął: „Przebiję go moim piórem na wylot”. Nie miał racji. „Poniedziałki” zostały jedną z najwspanialszych analiz „Komedii ludzkiej”. Mimo swoich złośliwości i inwektyw, a może właśnie dzięki nim. Wielkim pisarzem nie szkodziły nigdy. Kładą tylko małych.

„Każdy krytyk — pisał Sainte-Beuve — ma swoją ulubioną zwierzynę, na którą spada i którą tropi najchętniej... Dla mnie jest nią Balzac”. Dla Sainte-Beuve'a był czymś więcej niż literaturą, był modelem współczesnej cywilizacji, był niemal całym wiekiem dzieciętnym. Pierwszy Sainte-Beuve nazwał Balzaka najbardziej przenikliwym historykiem wieku, wielkim malarzem trzech epok. Cesarstwo — pisze — widział Balzac z całą jasnością i wyrazistością dociegnętego wzroku. Restaurację przeżył jak kochanek, poznał ją całą, wszedł i wzdął, z dołu, z nizin, w walce i cierpieniach ogromnego talentu, który odgaduje tysiące zakazanych rozkoszy, nim ich doświadczymy i je zdobędziemy. Z systemem, jaki zapanował po roku 1830, mierzył się Balzac jak równy z równym, a nawet patrzył na niego nieco z góry. „Znał i przeżył wszystkie trzy epoki, i jego dzieło jest do pewnego stopnia ich zwierciadłem. Któż lepiej od niego odmalował piękności i piękno Cesarstwa? Któż tak jak Balzac umiał schwycić na gorącym uczynku rozkwit mieszczańskiego gatunku, który tryumfował za dynastii lipcowej, gatunku odtańczonego, Birotto'w i Crevelow?”

Oto lekcja Sainte-Beuve'a! Po takich sądach poznaje się krytyka. Ale kiedy Balzac był cały ze swego wieku, Sainte-Beuve należał do niego tylko w połowie. Balzac był dumny, że pod czołem każdej z swoich postaci dojrzał złotą pięćciorankówkę. Dla Sainte-Beuve'a było coś w tym odrażającego, uważał to za brak smaku. Jak niedyś Wenecjanie Marika Polo, nazywa on Balzaka Messer Miglionie, sztydził z zawrotnych fortun, na jakie polują jego bohaterzy, z tysiącami złotych luidorów, którymi sięjają na prawo i na lewo, z milionów, jakimi obracają w jego powieściach wlecy finansisci. Pisze Sainte-Beuve, że tajemnicze własnego serca odsłoniło pióro pisarza — pogoń nieustającą za pieniądzem. I cytuje powiedzenie samego Balzaka, kiedy go zrujnowały machinacje finansowe i wydadł: „Drukarnia pożarła moje kapitały, drukarnia musi mi je oddać”.

Zymał się Sainte-Beuve na merkantylizm Balzaka, obrzucał go niesmaczne żądania, aby sława przynosiła pisarzowi królewską fortunę. Śmieszny go niepomniernie bardzo nowoczesny pomysł Balzaka, który proponował rządowi, aby odkupił prawa autorskie od dziesięciu „literackich marszałków Francji”. „Jako — woła — państwo miałyby obok papieru stemplowego i biletów loterii sprzedawać jeszcze w kioskach „Fizjologię małżeństwa...” I rząd miałby za to płacić dwa miliony? Tyle bowiem Balzac żądał za swoje prawa autorskie. Dziś dopiero wiemy, jak bardzo żądał.

Kpił sobie Sainte-Beuve ze złego smaku Balzaka, wysmiewa luksus, z jakim wzbogacił dorobkowiec urządzając apartamenty swoich uczniaków, z owych Madonn Raftela i Valentina, zawieszonych na łożku kurtazan, z mebli de Boule'a, sekretarzy wysadzanych macią perłową, hebanowych stołów i szczerzłotylich świeczników. Ale wierny obserwator społecznego życia przyznaje, że owe dziwaczne wnętrza, skupiające dzieła sztuki dwudziestu epok i dwudziestu krajów, stały się modne pod wpływem powieści Balzaka, że po roku 1840 zaczęło meblować się a la Balzac, i przyznaje, że „meble, które opisuje, mają w sobie coś żywego”.

Czy Sainte-Beuve umiał ocenić współczesnych? O Baudelaire wspomina zaledwie dwa czy trzy razy w swoich „Poniedziałkach” i to z okazji wizyty, jaką mu złożył autor „Kwiatów grzechu”, prosząc o poparcie swojej kandydatury do Akademii. Nazywa go Sainte-Beuve „małym libertynem”. To chyba wszystko o Baudelaire. O pani George Sand twierdzi, że oisała po francusku lepiej od Balzaka, o Merimee, że miał więcej smaku gustu i zdrowego rozsądku. O Eugeniuszu Sue, że dorównywał Balzakowi wyobraźnią, płodnością i darem kompozycji. O Aleksandrze Dumas, że rzadziej niż krytyka. A jednak napisał Sainte-Beuve, że z nich wszystkich „Balzac ścisła najmocniej i draży najgłębiej”.

U kogo krytyk ma terminować? U Sainte-Beuve'a! U Sainte-Beuve'a! Nie żałuję wakacji z Sainte-Beuve'm.

KRONIKA FRANCUSKA

MUZEUUM SZTUKI IMPRESJONISTYCZNEJ

W Paryżu powstały tego lata dwa muzea. Jedno z nich — to muzeum sztuki współczesnej. Reprezentowane tam malarstwo zmierzca coraz bardziej ku abstrakcji. Obok tego muzeum stałego otwarto prowizoryczne muzeum impresjonistów, które udotępniono zwiedzającym na okres letni — od połowy maja do listopada. Tak zatem mieszkańiec Paryża czy też turysta ma możliwość zapoznania się z ewolucją malarstwa francuskiego, poczynając od lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia aż do czasów dzisiejszych.

Muzeum impresjonistów, ostatniej wielkiej szkoły malarstwa francuskiego XIX wieku, znalazło pomieszczenie w osobnym pawilonie Luwru „Jeu de Paume des Tuileries”.

Pawilon „Jeu de Paume”, na rogu placu Concorde i ulicy Rivoli — położony jest w jednym z najpiękniejszych zakątków Paryża, w otoczeniu zieleni, wody i nieba. Stąd rozciąga się wielka przestrzeń placu Concorde z widokiem na Pola Elijskie i Sekwane.

W gmachu znajduje się szesnaście sal. Pomieszczenie tu całej szkoły impresjonistów było zagadnieniem trudnym. Trudności te powiększał jeszcze szkielet techniczny — oświetlenie, strona bowiem północna gmachu tonie w zieleni, pozerającej wiele światła. Zagadnienia tego nie rozwiązano zresztą należyte.

Urządzeniem muzeum zajął się konserwator obrazów w Luwrze, Germain Bazin który wydał książkę „L'Époque impressioniste”, najlepsze dzieło wprowadzające w sztukę impresjonistyczną. Bazin uwydatnia

rolę takich prekursorów, jak: Corot, Duprè, Huet, Daubigny, a zwłaszcza Boudin — mistrz Moneta i właściwy twórca impresjonizmu. Dalej omawia ewolucję szkoły, dając jej dokładną chronologię, w końcu mówi o kontynuatorach. Impresjonizm był ruchem artystycznym niestwierdzającym bogactwem w swej różnorodności i złożoności. Skupił grupę artystów, których złączyły na okres przelotny wspólne aspiracje i podobne teorie. W tej grupie były indywidualności bardzo wybitne. Toteż nie dziwnego, że odbiegły one wkrótce od siebie. Każdy z nich obrał własną drogę, porzuciwszy wąskie ścieżki doktryny. Jedno tylko nie przestało ich łączyć: to że widziano w nich grupę wyklętą. Mistrzowie impresjonizmu rekrutowali się ze wszystkich klas społecznej francuskiej drugiej połowy XIX stulecia. Znajdujemy wśród nich typowych reprezentantów „bourgeois” — Degasa i Maneta, „czerwonych” socialistów — Moneta i Pissarro, paryskiego anarcho — Renoira i hrabiego Toulouse-Lautreca.

Z samej nazwy „muzeum” wynika jasno, że nacisk położono tutaj na stronę informacyjną. Ten aspekt decydował o rozmieszczeniu obrazów; zwiedzający ma możliwość śledzenia rozwoju szkoły i techniki impresjonistycznej. Ułatwiają to dokładne, dane informacyjne, wykresy i tablice.

W impresjonizmie wprowadza sala pierwsza z obrzyminymi plótnami Fantin-Latoura: „Hold dla Delacroix”, „Atelier Batignolles” i „Róg stołu”. Na tych plótnach widzi my postaci mistrzów impresjonizmu wielkości naturalnej. Wśród nich są także portrety Verlaina i Rimbauda.

Na parterze dominuje Manet i Degas. Zgromadzone tu najpiękniejsze i najsławniejsze obrazy tych malarzy. Jedną z sal zajmują niemal wyłącznie portrety Degasa. Tutaj wisi też mapa impresjonizmu, z której wynika, że kolebką tej szkoły była zatoka Sekwany — Argenteuil. Na innej ścianie znajdujemy historię impresjonizmu z podziałem na pięć okresów: prekursorzy i wpływy, powstanie grupy, rozkwit, rozproszenie się, w końcu oddziaływanie, a więc: neoimpresjonizm z Seuratem i Pissarro, symbolizm z Gauguinem, fauwizm z van Goghem i kubizm z Cézannem. Na innym miejscu mamy portrety mistrzów impresjonizmu: Bazille'a, Cézanne'a, Gauguina, Degasa, Moneta, Pissarra, Renoira, Sisleya wraz z najważniejszymi wiadomościami o każdym z nich, a na tablicy, na ścianie przeciwnielegiej, znajdujemy omówienie techniki impresjonistycznej, ilustrowane przykładami, w których podkreśla się rolę pleneru, światła i refleksów.

O ile na parterze przeważają obrazy stosunkowo spokojne w kolorach, to na piętrze oszołamia nas prawdziwy wybuch barw. W dwóch salach na lewo od schodów królują Renoir, w salach na prawo zebrano w układzie, który budzi pewne zastrzeżenia, obrazy mistrzów szkoły, przemieszane z jej przedrukowanymi. Sala ostatnia poświęcona jest końcowej fazie twórczości Moneta.

Spółród najbardziej znanych obrazów są w muzeum: Degasa: „Kobieta czesząca się”, „Kobieta wycierająca nogi”, „Kobieta wycierająca szyję”, „Absynt”, „Prasowaczki”, „Próba baletu” i liczne obrazy z tancerkami; Maneta: „Śniadanie na trawie”, „Dama z wachlarzami”, wspaniała „Cytryna”, portrety Zoli i jego żony; Moneta: „Białe indyki”, „Pole tulipanów”, „Dworzec Saint-Lazare”, który był w swoim czasie skandalem; Renoira: „Moulin de la Galette”, „Odpoczynek po kąpielach”; Pissarra: „Sad”, „Topole”, „Liczne pejzaże Sisleya”, „Grający w karty” Cézanne'a, „Złoto ich ciał” i „U źródła” Gauguina, „Restauracja pod Syreną” van Gogha, „Cyrk” Seurata, a poza tym obrazy Toulouse — Lautreca, Bazille'a, Puvisa de Chavannes'a oraz dwa obrazy Henri Rousseau'a o oryginalnej technice, przypominającej filmy Disneya.

Obrazy zgromadzone w tym prowizorycznym muzeum pochodzą z Luwru oraz z kolekcji amatorskich: Callebotta, Camondo, Moreau-Neleton, Personnaz.

Muzeum impresjonistów daje po raz pierwszy po wojnie pełny przegląd sztuki tej szkoły. Otwarcie muzeum uważa Bazin za symbol nadejścia epoki pokojowej. Pisze on: „Stawia nam ono przed oczy wizję tych czasów słodkiego żywota w wieku XIX, kiedy człowiek — jak zawsze wówczas, gdy dusza jego przeżywa okres pokoju — zaleca się do natury jak do małżonki”. Otwarcie tego muzeum to dowód konsekwencji największej szkoły malarstwa, jaką wydała Francja. To urzędystycznie ogłoszenie Cézanne'a, by „stworzyć z impresjonizmu coś tak trwałego jak sztuka muzealna”.

Stanisław Gogulski

Jan Kott

RYSUNKI ADAMA MARCZYŃSKIEGO



TADEUSZ KUBIAK

Słowo pod żaglem

Upał. Miasteczko portowe. Kosz ryb.
Dwie opalone dłonie kosz uniosły.
Szmer stóp. Marynarz egzotyczny — wiosłem,
jak szklarz — rozcina poziomy blask szyb.

Biały dziób łodzi — to szyja labędzia.
A więc marynarz dosiadł ptaka. Plusk
samotnej fali stygnie na krawędziach
pustego moła. Rybi zapach łusk.

Mewy! O, mewy znają morza dno
lepiej niż nurek. Ale milczą. Żagiel
wysmukły, jak dziewczyna biegnie. Schną
dwie sieci. Plaże schodzą w wodę — nagie.

Latarnia morska, niby żona Łota
w biały słup soli skamieniała. Drży.
Placze. Placz, smutna... Wiatr słony jak lzy
wchodzi do portu z szumem, bez pilota.

W głębi basenu stara łódź. Wodorost
młody ją posiadał. Cieniutki, jak brew
z wędzarni ryb wyszedł księżyc. Na moło
wśród beczek z winem śpiew... bretoński śpiew.

Namaszczeni olejklem sandałowym „Lianola”,
jak gdyby sakramentem ostatnim opatrzeni,
zасыpiją — szulerzy i głupcy — w aureolach
krajowych konstelacji. To nowonarodzeni
Pilaci — widzieliście — umyli w morzu ręce,
młodą krew oplukali z dziesięciu chciwych palców.
Udają sprawiedliwych! Choć nie wiem, czy jest więcej
wśród nich niż dwóch niewinnych. Krok znużonych bywałców
niesie ich poprzez piasek plaży. A w marzeniach
bosą stopą dziś mierzą pięćsetkilometrowy
dostęp do morza. W głębi, w alejce pełnej cienia
marynarze rzną w karty. Stu skąpcom wiklinowe
kosze poprzyrastają do grzbietów. I od słońca
strzegą. Ale i ciężą. Woda skrzy się gorąca.

Siwooka dziewczyna balsamuje ramiona.
Pachnie jak południowe owoce. Prawie naga —
nie wstydy się. Udaje rybę. Światło drży w pionach.
Z samotnego stateczku powiewa dym i flaga
zamorska. Zieleń wody jest od szkła przezroczystsza.
Na piasku dna cień mewy przelatującej miga.
Fala deszczem wytryska, niby podwodny wystrzał.
Meduzy się kołyszają, jak liście na lodygach.
Znikają. Biały grzebień rozslonecznionej wody
ryby niosą na grzbietach, wyrzucają na brzegi
Gdyby unieść go w dloni i ofiarować młodej,
by małą główkę w srebro to przybrała, jak w śniegu.
I pachniała topielą. Niech lepiej nie pamięta,
że w głębi wodorostów na dnie topieli, z czasów
niedawnych, łódź podwodna już stygnie. Uśmiechnięta
niech wita śniadych chłopców wybiegających z lasu
rozwierzganym, jak stado centaurów — gdy zegar
słoneczny, którym brzuch jest opasłego leniwca,
godzinę snu wyznacza. Śmiech pryska! Ktoś spostrzega
perłową muszlę. Szumi, jak żuk skrzydłem na skrzypcach.

Harcerz śpiewa o morzu, łodziarz brodzi jak foka.
Pięcioletni admirał dowodzi okręcikiem,
który kiści bzu chyba nie przerasta. Z wysoka
opada wiatr. Sól pachnie. Mewa zrywa się z krzykiem.

Dziewczyna znów swe nagie balsamuje ramiona.
Namaszczeni olejklem znów obmywają ręce
w zielonej wodzie. Tylko w portowych falochronach
prawdziwe morze walczy z tonącym tam młodzieńcem.

Noc była strzelista i czarna, jak zawsze.
A idąc szumiała, jak żagiel na masztach.
Znosiła potrawy i wina najkrwawsze.
Aż wreszcie zakwitła w rozgwiazdach, jak kasztan.

Na zdrowie! — wypili. Noc oczy zmrużyła.
A bar zwał się „Neptun“ i broczył w nim nazbyt
szkarłatny wodopój. Noc do nich przypłynęła.
I z oczu lzy spadły, tży ciężkie jak gwiazdy.

Za szybą wybitą, zatkaną Van Goghkiem,
wiatr stapał — bo kochał się w nocy z „Neptuna”.
Hawajska gitara zabiegła mu drogę.
Nie spojrział. Odrzącił. Rósł w oczach jak luna.

Brzęk! Światła pogasły. Pająki lampionów.
A w beczce po winie żeglował sam bosman.
Bar „Neptun“ drżał, wicherzył się, śpiewał i tonął.
— Szklą przyplyw. Wodotrysk. Deszcz kropel. Plusk wiosła.

...I cisza. Na pustej butelce wiatr zadął.
Nikt tego nie słyszał prócz nocy i butli.
Noc była lipcowa, płakała za ladą.
A butlę pijani na moło rozłukli.

Matko bolesna, oplakuj...
Ojczy bolesny, oplakuj...

Świtem morze zabrało córkę jedyną. Latorośl.
Różo rozkwitła.
Ucieczko strapionych.
Starości podpora.

Wodo nielitościwa, oddaj. Wynieś na brzeg.
Ulituj się nad dziewczeczką.
Gwiazdą zaranną.
By móc jej powieki zamknąć.
I w ziemi złożyć, jak ziarno.

Odbierz chciwości ryb.
Sieciom rybaków i wiosłom.
I wodorostom.

Oplakuj, mowo wysoka.
Miłosierna siostrzo.

W blaszanej tubie przewodnika
raz jeszcze obraz wojny wraca.
To nie waltornia uroczysta
mosiężnym marszem zachłyśnięta.

Żal i rozterka huczy w tubie.
Morze jest bliskie. Dłonie zanurz.
Otwarty basen portu krwawi.
Słońce zachodzi. Wiatr ciemnieje.

Strzaskany kadłub pancernika
jelenim rogiem wież porasta.
Falochron martwy nad topielą.
Ludzie budują. Ludzie niszczą.

Harcerz różowy, jak piwonია,
głębokość zmięczy mierzy łaską.
Złamane ramię dźwigu chciałby
podeprzeć strzałą swej lilijki.

Ale z zielonej czapki chłopca
zstępuje miecz zuchwały. Oto
lilijka smukła, czy miecz nagi?
Ludzie miłują. Ludzie mszczą się.

Na brzegu, który jest odległy
łodziarz w czerwonym fezie kupczy.
W barze portowym tragarz wino
na krew zamienia. I krew pije.

Przewodnik wzbrania tubie płakać.
Dźwig przelamany. Moło martwe.
W barze portowym tańczą. Mowa
tych ludzi obca — business! business!

Nad białą czapką tak okrągłą,
że dzieci grałyby nią w serso,
szkarłat i biel... Zachodu pora.
Mewa zwietrzyła rybie mięso
i tocząc koło w gęstym blasku
zapada w wodę, gdzie gwiazd oset.
Rybak dosiada małej łodzi,
jak gdyby płotka bzu dzikiego.
Wiatr go unosi w skrzydłach wiosel.
O, melancholio starych portów!
Z czerwonej cegły elewator
pionowo rośnie ku obłokom.
Rybą i winem pachnie lato
w wieloramiennym cieniu doków,
Nad spustoszały basen splywa
niebieska flaga z krzyżem żółtym.
Północy chmurnej rzewny śpiew
na brzeg opada spoza burty.
Celniku czujny jak busola,
o, gdybyś serca marynarskie
otworzył nagle, jak walizy
o dnie podwójnym przemytników —
smukłej dziewczyny skandynawskiej
ujrzałbyś obraz w nim ukryty.
Na ładzie obcym, choć przyjaznym
do ciemnej knajpy ją poniosą,
gdzie kufel piwa, grube łapy
i chiński lampion pod okapem —
kochankę z sobą przywiezioną
zza wód szerokich bez paszportu.
Której na imię Ingrid, albo
Nathalie. Rzewna kontrabanda.
O, melancholio starych portów.

List z Katowic

ROBOTNIK ŚLĄSKI
INTERESUJE SIĘ PLASTYKĄ

Rysunek Ewalda Krosnego, pracownika huty „Baldon”

Nawet dla baczego obserwatora życie kulturalne i upodobania artystyczne robotnika śląskiego zagłębia przemysłowego kryją pewne niedziadki. Do niedawna przypuszczano się tu nie bez podstaw, że najsilniejsze są zamiłowania do muzyki. Dowodem tego jest wielka liczba i wysoki poziom zespołów orkiestrowych i chórów. Śląski Związek Kół Śpiewaczych liczy obecnie 18 000 członków i nie ma tutaj chyba większego zakładu pracy bez własnego chóru. Nie ma też huty lub kopalni bez własnej orkiestry, przy czym obok ulubionych orkiestr dętych są zespoły instrumentalne różnych typów aż do małych i dużych zespołów symfonicznych włącznie. Te zespoły są zjawiskiem szczególnie ciekawym i mają zupełnie dobre osiągnięcia. Mimo to jednak wyniki ankiety rozpisanej przez Związek Zawodowy Górników wśród swoich członków przyniosły ową wspomnianą na wstępie niespodziankę. Okazało się bowiem, że 80% uczestników ankiety wymieniając swój główny kierunek upodobań artystycznych wskazywało sztukę plastyczną.

Niespodzianka istotnie duża, bo przejawy tych zamiłowań trudne są do uchwycenia. Śląsk uchodzi za środowisko pozbawione kultury plastycznej, za środowisko opanowane zupełnie przez oleodrukową szmirę niemiecką, która straszy tu na każdym kroku i którą nawet inteligencja nie tylko toleruje, lecz i kulturuje, zdołując ją konsekwentnie wnętrza domów i biur. Ten stan rzeczy panuje również i w mieszkaniach robotniczych i to jest m. i. przejaw tych artystycznych upodobań, to są wzory, według których upodobania te się kształtują.

Nikt się tym dotychczas nie zajął. Dopiero w ostatnim czasie zanotować można pewne przejawy czynnego i praktycznego zainteresowania tą bardzo ważną sprawą.

Naprzód wystąpiła z inicjatywą Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach, która zorganizowała wysławianie prac plastyków-amatorów. Wystawę tę i jej celowość ostro dyskutowano. Był to pokaz złego malarstwa i jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wyróżniono rzeczy, które przez swą formę i treść musiały obudzić stanowczy sprzeciw. Ale ten pokaz ujawnił szeroki krąg zainteresowań plastycznych i wskazał ich ogniska. Nadesłano przeszło 300 prac. Okazało się, że na Śląsku robotnicy zorganizowali samorządnie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, mające już nawet swoje kilkunastoletnie tradycje (np. Nowy Bytom, Michałowice). Stowarzyszenia te skupiają malarzy amatorów, którzy służą sobie wzajemnie radą i pomocą, urządzają wspólne wycieczki „na pejzaż” i stawiają sobie pewne założenia artystyczne, jak np. zasadę zerwania z kopią. Nie potwierdziło się jednak przypuszczenie organizatorów, że wystawa wykaże związki istniejące pomiędzy sztuką tych malarzy ze środowiska robotniczego a sztuką ludową z okolicy. Poza tym na wystawę przycisnęło się robotników, ludzi pracy fizycznej stosunkowo niewielu. Na 61 dopuszczonych do uczestnictwa przez komisję kwalifikacyjną tylko 22 możemy zaliczyć do tej kategorii, reszta to urzędnicy, technicy, nauczyciele a nawet jeden architekt. I pomimo pojawiających się tu i ówdzie hasła zerwania z kopią, wystawa była zdecydowanie pod znakiem wpływu złego malarstwa oleodrukowego.

Druga inicjatywa, nawet wcześniejsza, wyszła ze Związków Zawodowych. Wojewódzki Dom Kultury ZZ w Katowicach zorganizował bezpłatny kurs rysunku i malarstwa pod kierunkiem art. mal. Rafała Pomorskiego. Kurs ten jest dwustopniowy, przeznaczony wyłącznie dla ludzi pracujących zawodowo i mających przy tym chęć dokształcenia się artystycznego. Uczęszcza nań regularnie ok. 70 osób i to przeważnie ludzie pracy fizycznej, którzy dojeżdżają z różnych miejscowości. Związki Zawodowe pokrywają nawet koszty zakupu materiałów, jak farby, płótna itp. Kurs ten według opinii plastyków



Rysunek St. Kwaśniewicza, syna górnik

daje dobre rezultaty i całkowicie osiąga swój cel.

W najbliższych miesiącach akcja ta ulegnie znacznemu rozszerzeniu. W Katowicach, Sosnowcu, Rybniku powstają bowiem Państwowe Ogniska Kultury Plastycznej, które spełniać będą podobną rolę co wymieniony powyżej kurs. Ogniska te nie będą dawać uprawnień zawodowych, mają pokierować pewnymi talentami i zamiłowaniami, kształcić smak artystyczny, nauczyć kryteriów oceny artystycznej.

Gdy kilka dni temu wychodziłem z najnowszej wystawy katowickiej „Śląsk w sztuce”, minąłem na schodach robotnika, który prowadził na wystawę swoich dwóch „synków”, kilkunastoletnich wyrostków z teczkami, idących widocznie prosto ze szkoły. Dotychczas jest to jednak zjawisko wyjątkowe. Ta wystawa ze względu na temat ma wyjątkowe powodzenie, jeśli chodzi o frekwencję. Na ogół sprawa wygląda gorzej. Wystawy nie dotarły jeszcze do robotnika, jeszcze nie widziały go w wycieczkach grupowych, a z rzadka tylko pojedynczo, gdy inteligencja omija je konsekwentnie. Ostatnie wystawy odwiedziło: w Bytomiu 200 osób, w Zabrze 300, w Katowicach 300. Na otwarciu wystawy „Śląsk w sztuce” nie zjawili się nawet przedstawiciele władz. Zamiast wstępu były dobrowolne datki. Zebrano 1.125 zł. W tym 1000 zł od jednego ofiarodawcy. Dotychczas wystawa ta nie przyniosła ani jednego zakupu, mimo iż Związek Plastyków wysłał 180 listów z propozycją zakupu i zaproszeniem do zapoznania się z wystawą.

W tych warunkach dola plastyków na Śląsku nie jest wesoła. Żyją z różnych powodów, pracy przy dekoracjach sal i stoisk na wystawach, jeżdżąc za zarobkiem po ca-

łej Polsce. Inni poświęcili się pracy pedagogicznej. I ci mają na dzieje, że z biegiem lat stosunki ulegną zmianie na lepsze. Bo same Katowice, które przed wojną nie miały żadnej szkoły sztuk plastycznych, dziś mają już cztery ośrodki kształcenia. Pierwszy z nich to oddział Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych we Wrocławiu, którym kieruje Aleksander Rak, drugi — to Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, trzeci i czwarty to właśnie owe

obliczone na dokształcenie i podniesienie kultury plastycznej w szerokim kręgu społecznym kursy Związków Zawodowych i Ośrodek Kultury Plastycznej.

Może więc wreszcie doczekamy się, że Śląsk przestanie być terenem, na który zjeżdżali malarze okresowo dla seryjnego, zarobkowego produkowania portretów ludzi mających pieniądze i ich ubrylantowanych małżonek.

Zdzisław Hierowski

25 lat literatury na Śląsku

O współczesnej literaturze na Śląsku pisywali przed wojną najczęściej Alfred Jesionowski i Paweł Musioł. Po wojnie zastępuje ich głównie Zdzisław Hierowski. Torował on od 1937 r. drogę utworom śląskich literatów w katowickich audycjach radiowych, teraz zabrał się do ogłaszania prac krytyczno-literackich z niemałym rozmachem. W ankiecie „Odry” pt. „Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych” wyznał Hierowski: „Z zapalem i z całą świadomością zamiarów i celów poświęciłem się wyłącznie problemom kulturalnym i literackim Śląska — nowym i dawnym”. Z większych na ten temat prac ogłosił Hierowski dotychczas w rocznikach „Zarania Śląskiego” z 1945 i 1946 r. szkice pt. „Śląsk, jako region literacki” i „Dwa lata pracy pisarzy śląskich”, oraz antologię pt. „Śląsk walczący. Poezja i pieśń” (1946), a świeżo „25 lat literatury na Śląsku”.

Hierowski uczuciowo jest silnie związany z Pawłem Musiołem. Współpracował w redagowanej przez niego „Kuznicy” i „Fantanie”. Przejął od Musioła zasady surowej oceny utworów literackich, opierając się o postulat natury artystycznej. Dzięki temu praca jego budzi zaufanie. Jest pożyteczna i poważna. W omawianym okresie lat 1920 — 1945 dostrzegł Hierowski moment przejścia „od prymitywu do form noszących znamiona prawdziwego artysty”, ale nie ukrywa, że omawia właściwie dzieła przeważnie pisarzy „niewyśokiego lotu”.

Nawet Gustaw Morcinek, choć w „śląskim środowisku literackim”

1) Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Serja II.8. Zdzisław Hierowski, 25 lat literatury na Śląsku. 1920 — 1945 Katowice — Wrocław. 1947; str. 208.

nadal postać najwybitniejsza” i „jedna z najpopularniejszych postaci literackich w Polsce”, przede wszystkim epik górnictwa Śląska i pisarz dla młodzieży, wykazuje liczne niedomogi: czułość, stosowanie częste środków z kategorii prymitywnego naturalizmu, brak filozoficznego pogłębienia w spojrzeniu na świat i niedociągnięcia filozoficzne.

Natomiast ujmuje się Hierowski za przemilczanym niesłusznym epikiem Zagłębia Dąbrowskiego, Janem Waśniewskim, który wydaje mu się „prostszy od Morcinka, oszczędniejszy, bardziej rzeczowy i bardziej nowoczesny”.

Najwięcej wiary budzi w Hierowskim „pokolenie poetów” do którego zalicza trzy świeże i oryginalne talenty: Pawła Kubisza, Edmunda Osmańczyka i Wilhelma Szewczyka. Zdaje mi się, że te nadzieje są rzeczywiście usprawiedliwione, zwłaszcza co do publicystyki Osmańczyka i poezji Szewczyka. Natomiast dotychczasowy dorobek Kubisza jest skąpy, ten bezspornie zdolny poeta pisze bowiem z trudem i mało, a rzeczy już napisane docierają tylko do tych nielicznych smakoszy literackich, dla których gwara cieżyńska jest dostępna.

Hierowski, choć sam na Śląsku jest, jak tam mawiano, „władzą”, ma zrozumienie i sentyment przede wszystkim dla utworów, napisanych przez samych Ślązaków. Tych głównie popiera. Uznaje jednak tym razem i grupę pisarzy z innych dziedzin Polski, którzy dali początek i rozmach rozwojowi ruchu regionalnego. Szerzej omawia przy tym śląski pion Zofii Kossak i Poli Gojawicyńskiej, „której zasługi literackie w stosunku do Śląska nie są mniejsze od zasług Kossak Szczuckiej”. Surowy wobec poezji np. Zabierzewskiej, w której tomie „Przez ślą-

skie okno” dostrzega niesłusznie chłód i patos, pobłażliwszy, mimo wszystko, staje się wobec pomniejszych autochtonów, pisarzy regionalnych. Mam nawet wrażenie, że tytuł jego pracy „25 lat literatury na Śląsku” lepiej byłoby zmienić na „25 lat piśmiennictwa śląskiego”, bo pierwsze trzy rozdziały studium, pokazujące drogę literatury śląskiej, to głównie omówienie pracy „z ludu i dla ludu”, bardzo ważnej i bardzo cennej, ale z „literaturą” luźną tylko mającej związek. Natomiast tytuł „piśmiennictwo” ogarnąłby słusznie wszystkie te utwory i pozwoliłby nadto włączyć do dorobku śląskiego ważną publicystykę, prace popularno-naukowe i naukowe zasłużonych Ślązaków w rodzaju Franciszka Popiółka, czy Konstantego Prusa, dwóch tegorocznych laureatów nagród Wojewódzkiej Rady Kultury.

Z rzeczy drobniejszych, pominiętych przez Hierowskiego, przytoczę dwie. Hierowski przemilczał próby ożywienia ruchu literackiego na Śląsku w latach 1935 — 1937 przez Instytut Śląski w imprezie „Żywy Dziennik”, choć w ciągu dwóch sezonów przewinęło się przez ten mówny miesięcznik blisko 100 „redaktorów”, i sam Hierowski na łamach „Kuznicy” był dla periodyku początkowo nawet bardzo łaskawy. Z perspektywy czasu, jako b. „naczelnemu re-

daktorowi” Żywego Dziennika”, cieszącego się wówczas wielkim powodzeniem, wydaje mi się, że obok wielu wad miał on tę niewątpliwą zaletę, że wnosił do życia literackiego Śląska ożywienie i humor, jakże rzadko pojawiający się wówczas w Katowicach. Z tych względów upominam się również o pominiętych w szkicu śląskich humorystów, (uwzględniono tylko najpopularniejszego, ale i najmniej wybrednego Karlika z „Kocyndra”), a są przecież wśród nich prawdziwe perełki, jak np. przemilczony Niejecki X, kolega Hierowskiego z „Odry”, podpora pism śląskich.

W sumie dał jednak Hierowski pracę wartościową i aktualną, zwłaszcza w momencie kiedy z Katowic powinna się rozwinąć ekspansja kulturalna na Ziemie Odzyskane. Słusznie zauważa Hierowski, że wbrew czekaliom Śląsk nie został dotychczas zasilonym poważniejszym przyplwem pisarzy z głębi Polski i ziem wschodnich (Zukrowski i Kowalscy to wyjątki). Praca Hierowskiego pozwala zorientować się dobrze w tych możliwościach, jakimi obecnie Śląsk rozporządza i silnym głosem woła o pomoc, jeśli Śląsk ma stać się, jak powinien, na równi z innymi centrami literatury w Polsce.

Stefan Papée

Szkoła krytyków

Burza, przekładaniec i kapuśniak

Przedmówek na polach dobiega już końca, czyli były żniwa, kiedy w tym czasie przeszły, ponieważ już dwa miesiące dobiegają od jej pierwszych uderzeń. Od tej zaś burzy, poprzez przekładaniec droga już wprost do jesiennego kapuśniaczku. Próbuje żyć właśnie, niedziennie i tak, jak to zalecały nastrojowe wiersze modernistów.

Jak to zwykle z letnią burzą bywa, wyskoczyła spoza horyzontu nieoczekiwanie. Myślę o nagrodzie „Odrodzenia” przyznanej Jarosławowi Iwaszkiewiczowi i o błyskawicach, co później nastąpiły. Nieoczekiwany był przede wszystkim sam wybór laureata. Wśród rozmów i przewidywań, kto nim zostanie, nazwisko Iwaszkiewicza prawie że się nie powtarzało. Nie dlatego, żeby ci wszyscy rozmówcy, a nieraz się bywało w ich nie tylko literackim gronie, uważali Iwaszkiewicza za pisarza odstawionego już na boczny tor, a jego ostatnie książki za niegodne pamięci.

Po prostu tylko wszyscy prywatni profesie po zeszlorzeczonej próbie lepiej wyczuwali sens owej nagrody, aniżeli uczyniło to jury tegoroczne, i na ten właśnie temat pozwolił sobie do minionych już grzmotów dorzucić błyskawicę z własnego kołczanu. Sens dobrej nagrody literackiej jest przede wszystkim w tym, jeżeli odkrywa nowe wartości i nowych pisarzy, by ich narzucić publiczności. Podobnie zresztą jak sens konkursu. Nagroda zaś „Odrodzenia” posiada wszelkie dane, żeby sensowi taktemu odpowiedzieć. Założmy prosta, choć trochę fikcyjną sytuację. Założmy mianowicie, że przed szacownym gronem jurorów kładą się dwie książki artystycznie równorzędne. Jedna pisarza dojrzałego, druga początkującego. Kogo wyróżnić? Sądzę, że początkującego. Wielkie pieczęcie niech przywieszają inni; to jest nagroda małej pieczęci i związanego z nią ryzyka.

Postępując zaś krok dalej po tak przyjętym założeniu, napotykaćmy wniosek, że nawet, jeżeli książka pisarza młodego nie dorównuje utworowi kolegi już wprowadzonego pomiędzy horyzonty sławy, nadwyżka młodości, debiutu, wartości społecznej czy wreszcie trudności podjętego gatunku powinna ten dystans pokrywać. Tak przynajmniej z krytyków twierdzi Kazimierz Wyka, kiedy go o to zapytałem napotkawszy przypadkiem w jednym z owych dyskutujących gron.

Pisząc o trudności gatunku, mam to na myśli, że i w tym i w ubiegłym roku proza wyróżniona na dalszych miejscach to wciąż proza nowelistyczna i powieściowa. Coś tak, jakby dyplomy Państwowego Instytutu Pomologicznego (czy taki istnieje?) zbierały tylko jabłka, a gruszek w ogóle nie było. Tak, w minionych dwóch latach, gruszek — dobrego essayu, dobrej prozy krytycznej, pamiętnika — nie było. Zakończmy wolaniem: gruszek, dojrzejcie! Na wierzbach, uszedzie, dojrzejcie!

Tak w środku szpalty klubnie zakończywszy, powróćmy trochę do burza przechodzącej w przekładaniec. Otóż, czy się przyjmie czy nie proponowane w poprzednim ustępie założenia, nagroda przyznana Iwaszkiewiczowi posiada zarazem smak pewnego votum nieufności dla młodej prozy. Votum to zapewne przypadkowe, ale wtedy burza przechodzi w przekładaniec. A rozwój prozy w latach powojennych posiada niewątpliwie układ określony tym gastronomicznym słowkiem.

Napierem, w 1945, były postulaty. Rozciągnęła dyskusja o realizmie, zapowiedzi, wnioski i nadzieje. Pierwsza warstwa. Na nią położyły się książki wydane w bieżącym i minionym roku. Ciasto podawane publiczności wprowadźcie teraz, ale wypieczone w latach okupacji, albo nawet przed wojną. Ciasto starsze zatem i dawniejsze od warstwy przekładaniec, na jakich przyszło spocząć. Dlatego to przekładaniec w tym miejscu zupełnie się nie zróbi, a każda gospodyni wie dobrze, gospodyni literacka również wiedzieć powinna, że zróbić się nie może, bo był w różnym czasie zarabiany. Pomiędzy postulatami realizmu a wyglądem prozy powojennej powstał luz.

Teraz zaś, od artykułu Kotta „Żoń albo o powieści współczesnej” („Odrodzenie” nr 145), od wypowiedzi M. Jastruna i S. Zółkiewskiego („O literaturze współczesnej” „Kuznica”, nr 37) zaczyna się nakładająca warstwa trzecia. Piszę zaczyna, ponieważ powzięta przez Kotta i Zółkiewskiego ocena prozy powojennej nie powinna się rozpląnąć w jesiennym kapuśniaczku po letniej burzy. Przypuszczam, że przy tym rozrachunku nie zabraknie nikogo z krytyków i nawet Kazimierza Wyka, o którego surowych sądach prywatnych tyle Kott umiał domyślić powiedzieć, nareszcie te sądy ujawni. Natomiast „Szkoła krytyków”, ponieważ sprawa jest w toku dopiero, raczej ją sygnalizuje i zaznacza, aniżeli zabiera głos w sposób definitywny. Znowu dlatego, by Kott miał rację pisząc o tym, jak to powściągliwy, dyskretny i ostrożny jest jej poczytywu wujaszek z zaplątanym językiem.

Na razie tylko dwie uwagi: byłoby źle, gdyby na tym nowym poziomie przekładaniec, rzeczywistość prozy znowu się nie zrosła z nakładanymi na nią postulatami. Byłoby źle, gdyby powstał ten sam luz, jaki widnieje pomiędzy wstępny dyskusją o realizmie a książkami, które po niej napłynęły półki krytyków. Nie dojdzie zaś do tego, jeżeli tak obrońcy jak atakujący nie będą naciągali faktów na swoją stronę. Dotąd nie naciągają. Stefan Zółkiewski bardzo na Kotta się siedzi, ale kiedy dochodzi konkretnie do książek, jakich gotów jest bronić, okazuje się, że niewiele więcej od Kotta wymienia. Radości na ten temat, objawiane w notach literackich „Dziś i Jutro”, są bardzo krótkowzroczne. Bo źle o przyszłości naszej prozy myślenia ten, kto przypuszcza, że w obecnej sytuacji znowu wykręci się ona sianem, tym razem — by tak rzec — sianem powodzenia gatunków tradycyjnych u tradycyjnie zapóźnionej publiczności.

Po tym bowiem, wszystko jedno czy zamierzonym, czy też przypadkowym votum nieufności, niedawna burza zamiast w tęczę, przemienia się w przekładaniec. Chodzi o to, jaki dorobek mieli przed sobą jurorzy zeszlorzeczeni, a jaki z obecnego lipca. Naturalnie, ciagle powtarzam, pod warunkiem, że są oni od małej pieczęci i związanego z nią ryzyka. Zeszlorzeczeni mieli dorobek na pewno ciekawszy, nie było. Zakończmy wolaniem: gruszek, dojrzejcie! Na wierzbach, uszedzie, dojrzejcie!

Tak w środku szpalty klubnie zakończywszy, powróćmy trochę do burza przechodzącej w przekładaniec. A rozwój prozy w latach powojennych posiada niewątpliwie układ określony tym gastronomicznym słowkiem.

k.j.w.

NOWOŚCI WYDAWNICZE
• CZYTELNIKA •

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

CZERWONE TARCZE
POWIEŚĆ HISTORYCZNA

STRON 377

Zł 700

HENRYK SZYPEP

ADAM MICKIEWICZ
ZARYS HISTORYCZNY

STRON 246

Zł 450

ADAM WAŻYK

MITY RODZINNE
POWIEŚĆ

STRON 313

Zł 600

POLA GOJAWICYŃSKA

RAJSKA JABŁOŃ
POWIEŚĆ

Tom I. Str. 200

Tom II. Str. 243

Zł 600

KORNEL FILIPOWICZ

KRAJOBRAZ
NIEWZRUSZONY

OPOWIADANIA

STRON 211

Zł 310

MIROŚLAW ŻULAWSKI

OSTATNIA EUROPA
TRZY MINIATURY

STRON 135

JUŻ DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH

Kartki z dziennika lektury

Kilka słów wstępu

W notatkach niniejszych mówię się będzie każdego tygodnia o utworach wznawianych, względnie o tych książkach wartych przypomnienia, do których z racji przypadku lub osobistych swoich upodobań piszący te słowa powrócił po raz wtóry. Nie leży w intencji niżej podpisanego styl recenzenta. Te notatki i marginesowe uwagi będą raczej miały charakter karetek wyrwanych z dziennika pisarza, karetek — trzeba zaznaczyć — ograniczonych w tym wypadku do dosyć wąsko określonego wyboru lektury. Jeśli bowiem mogę przyspuścić, że w zakresie utworów powieściowych stać mnie na to, abym się z czytelnikiem podzielił pewną ilością uwag sensoryjnych i rzeczowych, pewnością tej brakowałoby mi w odniesieniu do utworów poetyckich i scenicznyc. Wydaje mi się, że gdy się nie jest samemu zawodowym krytykiem, śmiałość i pewność sądów uzyskać można w tej przedzie wszystkim dziedzinie artystycznej, której rzemiosło znane nam jest od wewnątrz niejako, z własnej praktyki i osobistych doświadczeń. Myślę, że podobna znajomość przedmiotu od strony jego rzemiosła potrzebna jest i użyteczna w tym samym co najmniej stopniu co pewne minimum zmysłu historycznego, pozwalające książki i pisarzy rozpatrywać na tle ich własnej epoki i tych wszystkich niepowtarzalnych elementów, które owemu czasowi były właściwe. Pewna doza intymności, wybaczalna w dzienniku, pozwala mi wyznać, że dyletantyzm nie budzi we mnie żywszej sympatii. Z drugiej zaś strony łatwo dostrzec w naszym życiu kulturalnym dość wiele znamion powszechnej byskotliwości i niezupełnie odpowiedzialnej gadatliwości o wszystkim i wszyskich, abym i własnymi potrzebami wiedzioną i przykładami z zewnątrz ostrzeganiem nie przagnął w tych literackich drobiazgach, z konieczności wkraczających w dziedzinę krytyki, nałożyć sobie daleko idących rygorów ograniczenia przedmiotu. Zatem — aby się więcej na ten temat nie rozwódzić — niniejszy dziennik lektury dzielę się choć z czytelnikiem różnymi uwagami współczesnego powieściopisarza, odnotowanymi na marginesie lektury tych polskich powieści, których data pierwszego wydania nie wykraczała poza rok trzydziesty dziewięć. Jeśli od tej zasady zdarzą się odchylenia, sięgając one będą o mie-

dzę zaledwie: mam na myśli pamiętniki i listy. Mogą się również przydarzyć dalsze nieco wyjazdy za granicę, lecz nie uprzedzamy faktów...
Ba! ileż się niespodzianek kryje na półkach biblioteki, ile również rozczarowań i wątpliwości. Każdy, komu głód poznania oraz potrzeba określenia własnego stosunku do przeszłości, lub potrzeba rewizji tego stosunku, każe sięgnąć po książki przed laty przeczytane, a także poszukiwać innych jeszcze książek, nieznanych i zapomnianych, chociaż kiedys blyszczących krótką chwilą chwały, zna owe sprzeczne myśli, z których jedne kładą cień rozczarowania na dawne miłości, drugie i umysł i serce ożywiają radością niespodzianką. Od kiedy pojąłem doniosłość żywej tradycji literackiej, kilkakrotnie i w różnych okresach życia miałem okazję wyruszać w głąb owej nieznannej ziemi, jaką mimo wszystko jest do tej pory powieść polska. Jak we wszystkich podróżach i poszukiwaniach, w każdej takiej wędrówce trzeba było zostawić coś z samego siebie. Czasem musiało się zostawić bardzo dużo. Wiele wprawdzie lat upłynęło od owego roku, kiedy po krótszą już, trzeciej bodaj z rzędu lekturę „Dziejów grzechu”, „Urody życia”, „Walki z szatanem” i „Dumy o hetmanie” zamalał się nagłe we mnie młodzieńczy kult Zeromskiego, a przecież do dnia dzisiejszego trudno mi ten bolesny zawód wspomnieć bez ściśnięcia serca. Trzeba jednak dziękować łaskawemu losowi, że nie uczynił serca zamkniętym i oschłym, pozostawiając mu przywilej cierpienia, gdy miłość odchodzi i przywilej radości, gdy nowe uczucie nowych wznuszeń udziela. Ileż zresztą razy wracałem z tych literackich wędrówek niespodziewanie obdarowany! Raz był takim darem zapomniały Ludwik Szymanowski; kiedy indziej Jana Potockiego „Pamiętnik znaleziony w Saragossie” i „Alchadar” Edmunda Chojackiego; jeszcze innym razem Listy Orzeszkowej, jedna z najpiękniejszych i najbardziej chyba wzruszających książek, jakie zdarzyło mi się czytać. Pamiętam, w gimnazjum tak mnie śmiertelnie nudziło „Nad Niemnem”, że zmuszony do napisania z niego tzw. wypracowania domowego, nie mogąc ani rusz przebrnąć przez tekst powieści, sięgnąłem wreszcie po odpowiednią broszurkę ze sławetnych „skróatów”, zastępujących niestety

w swoim czasie wielu sztabakom obowiązkową lekturę szkolną. Na wiele lat została mi później uraza do Orzeszkowej. Nawet w czasie studiów polonistycznych wymagam się od pani Elizy i dopiero lektura Listów tej wielkiej, mądrej i do głębi wzruszającej kobiety pozwoliła mi odnaleźć urok jej dzieł. Warto wśród dawnych książek podróżyć, moi mili. Warto powracać do tych samych literackich pejzażów, po drodze odkrywając nowe. Nawet, gdy się wie, że we własnym piśmiennictwie nie znajdziemy dzieł znaczących w ogólnoludzkiej kulturze tyle, ile znać „Pan Pickwick”, „Czerwone i czarne”, „Wychowanie sentymentalne”, „Wojna i pokój”, albo „Bendbrookowie”.
Spośród zmiennych kolei, które wymierza książkom ich własny kształt przełamujący się w ciągłych przemianach czasów, zapominanie i śmierć nie zawsze są sprawiedliwe. Wiele by za racji można wytoczyć, że śmierć książek w Polsce mniej bywa zastużona i sprawiedliwa niż gdzie indziej. Nie oceniamy bowiem własnej, dalszej i bliższej przeszłości rozważnie i w stosunku do tych spraw, wymagających wiele umiaru i pracowitości, raczej uczuciowymi porывami zwykliśmy się kierować, kosztującymi nawiąkami tradycji i równie martwymi uprzedzeniami. Gdy jednych zaślepia często bezkrytyczny entuzjazm, innych zaślepia również bezkrytyczny krytycyzm. Iluż Polaków posiada w sobie przeszłość nie dalszą niż ich własna pamięć i doświadczenia sięgają! Nasza historia i nasze kulturalne osiągnięcia przez świadomość każdego polskiego pokolenia przepływają fragmentami tylko, strzępami powyrwanymi z całości, zniekształconymi i w mglistym chaosie utopionymi szczytami. Można mieć przecież nadzieję, że w tych warunkach nawet bardzo skromnie nakreślona trasa węższej literackiej, wędrownych śladami powieści dnia wczorajszego i dni dawniejszych, odsoni wiele rozległych widoków i ukaże niejedną interesującą perspektywę. A więc w drogę! Jeśli te kartki z dziennika lektury zachęca czytelnika do wędrówki wspólnej, ich sens osobisty nabierze dla autora sensu głębszego: upragnionej przez każdego pisarza ceny zrozumienia.
Jerzy Andrzejewski

**List z Wybrzeża
O ZABYTKACH I KSIĄŻKACH**

Nadmorskie Ziemie Odzyskane są jeszcze ciągle dla historyków. a przede wszystkim dla historyków sztuki, terenem wprost nieograniczonych możliwości odkrywczych i badawczych. Bystry szperacz w najmniejszej wiosce tutejszej może odkryć zabytki wartości muzealnej. Każdy kościółek wiejski, każdy dwór i co trzecia chata chłopska kryją w swoich zakamarkach cenne przyczynki do historii Pomorza Zachodniego, a często również i wartościowe dzieła sztuki.
Dla przykładu wymienię kilka faktów. Dopiero przed kilku tygodniami na terenie jednego z zamkniętych w powiecie łebskim odkryto przypadkiem cenne płótna Watteau. W majątkach Grabków i Czepków w Słupieckim rezerwie starych mebli stylowych i obrazów czekając cierpliwie na ekspertyzę fachowców. Na plebani w Łebie znajdują się akta stanu cywilnego z XV i XVI w., oraz dwujęzyczne dekryty frydrycjańskie, pisane po niemiecku i po polsku. Na strychu kościółka w Sarbsku poniewierają się tablice nagrobkowe Weyherów z XVII w. Przykładów podobnych można wliczyć kilkadziesiąt — i to zaledwie z terenu jednego powiatu, a cóż dopiero z całego Wybrzeża.
Zabezpieczenie i inwentaryzacja tych wszystkich grup marnujących się zabytków są w tej chwili najpilniejszym obowiązkiem wojewódzkiego wydziału kultury i sztuki: gdańskiego i szczecińskiego. Z pracą tą należy się spieszyć, gdyż wiele bezcennych zabytków zmarowało już bezpowrotnie. Sam rozmawiałem kilkakrotnie z osadnikami, którzy książki, pochodzą-

cych z bibliotek dworskich, używali jako materiału opałowego. Niektórzy z moich rozmówców pocieszały mnie, że palono jedynie książki najstarsze.
Jeżeli już mowa o książkach, to chciałbym przynajmniej słów kilka poświęcić Bibliotece Miejskiej w Gdańsku — placówce kulturalnej, która zasługuje na szczególną uwagę i uznanie. Bibliotekę Gdańską oddano do użytku polskiej publiczności w trzysta pięćdziesiąt rocznicę jej istnienia — w czerwcu 1946 r. Otwarcie Biblioteki było dla jej personelu zamknięciem trudnego okresu najcięższych prac przygotowawczych. W wyniku tych prac, prowadzonych pod niezmordowanym kierownictwem dyrektora Biblioteki, prof. M. Pelczara oraz wicedyrektora prof. M. Des Loges, zabezpieczono i uporządkowano cały księgozbiór Biblioteki. Liczący ogółem 250.000 tomów. Osobliwość i najcenniejszą część tego księgozbioru stanowi wspaniały zbiór starodruków, liczący z górą 50.000 tomów. Wśród starodruków polskich znajduje się około 2.000 druków, nieznanymi bibliografii Estreichera, co stawia Bibliotekę Gdańską w rzędzie pierwszych bibliotek polskich. Niezwykle bogaty materiał książkowy, jakim dysponuje Biblioteka w zakresie pomorza, oraz jej wybitnie fachowe kierownictwo, pozwalają przypuszczać, że z czasem stanie się ona jedną z głównych pomocy naukowych dla historyków opracowujących historię Ziemi Odzyskanych.

Niestety, nie wszystkie instytucje kulturalne Wybrzeża działają równie sprawnie jak Biblioteka Gdańska. Za przykład krańcowo przeciwny można uważać niezdarności i chroniczny bezwład Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Sztuki i Kultury Artystycznej. Działalność tej instytucji odbiega całkowicie od jej założeń teoretycznych. Wojewódzka rada sztuki artystycznej winna być centralnym ośrodkiem i zarazem busolą życia kulturalnego swego województwa. Ze rady kultury mogą z powodzeniem takie zadanie spełniać — tego dowodem jest chociażby praktyka poznańska. Niestety, w Gdańsku jest inaczej. Gdańska Wojewódzka Rada Sztuki i Kultury Artystycznej nie bierze praktycznie żadnego udziału w życiu kulturalnym województwa gdańskiego. Wystarczy powiedzieć, że tak zasadnicze zadanie kulturalne jak gruntowna przebudowa organizacji teatrów dokonało się całkowicie poza plecami Rady. Gdańska Rada odbywa swe posiedzenia raz na kilka miesięcy, gdy powinna się zbierać regularnie, przynajmniej raz na dwa tygodnie. Gdańska Rada ogranicza swą kompetencję do zatwierdzania rozdziału fundusów pomiędzy związki artystyczne — co w praktyce nie jest żadną kompetencją i w najmniejszym stopniu nie przyczynia się do rozwoju życia kulturalnego na Wybrzeżu. W tych warunkach nasuwa się mimo woli pytanie, czy istnienie tego rodzaju instytucji ma w ogóle jakikolwiek sens i czy warto wydatkować poważne sumy na jej koszty administracyjne?

Marian Brandys

Pocztówka z Krakowa

W Krakowie nówi się teraz dużo o teatrach. Cóż teatry? Wiadomo, historia deficytowa. Dwudziestu ludzi na scenie i dziesięciu na widowni. Ale dyrekcji objęli nowi ludzie i przyrzekli, że się to całkowicie zmieni. Węc „chyba można wierzyć, że będzie nareszcie odwrócić. Dziesięciu na scenie, a dwudziestu wykupi bilety. To już jest pewien interes. I dla tego wszyscy mówią i mają nadzieję. W Krakowie zresztą wszyscy mają nadzieję. Tak też było u przegu sezonu teatralnego. Najpierw Władysław Wozniak miał nadzieję, a gdy ją stracił, miał nadzieję Bronisław Dąbrowski.
Dzisiaj obydwaj żyją sobie zgodnie, a Aleksander Rodziewicz z Teatru Powszechnego TUR ma za to nadzieję, że im się to nie uda, bo on ma nadzieję, że jego scena i tak w kółko. Okazało się, że w tym wypadku z nadzieją było tak jak z cudownym rozmnożeniem chleba. Była jedna, a obdzieleno nią wielu.
Wstępne harce z publicznością rozpoczęto w Starym Teatrze „Mężem i Zoną” Fredry z grilendami wierszyków Adama Polewki przed i po każdym akcie. Poeta ten przepisał nader żręcznie polemiki Boya z prof. Kucharskim, dodając tu i ówdzie rymy w rodzaju: „niechże się pan tak nie złości, to komedia jest miłości” lub oryginalniejsze — „nawet ludzie twierdzą prości, że idzie o moralność...” Poza tym przedstawienie udaje, bo reżyser zabrał się do dzie-

ła ostro i Surową załkał wszystkim dziury.
W Teatrze Powszechnym TUR podniesiono po raz pierwszy kurtynę na przedstawieniu „Rodziny Rakuskiej” Morozowicz - Szczepkowskiej. Nowa ta sztuka Szczepkowskiej jest starą jej sztuką pt. „Walący się dom”. Ponieważ przed otwarciem teatru zrobiono mały remont, zmieniono tytuł, żeby nie było nomen omen.
Sensacyjnym wydarzeniem w Krakowie był mecz piłkarski pomiędzy drużyną literatów a zespołem aktorów. Na ten wspaniały bój sportowy zbiegło się dobre 7.000 widzów, którzy złożyli do puszek kwotę 137 tysięcy złotych na odbudowę Warszawy. W ten sposób artyści krakowscy podnieśli z pewnością jeden dom w stolicy o jedno piętro. Mecz wykonano co najmniej w 200 proc. ponad normę. Nawet Jalu Kurek oświadczył, że jako środkowy pomocnik więcej zdobył sobie popularności wśród krakowian, aniżeli mogli to zdziałać dwie miążdzące recenzje Jaszcza o jego „Janosiku”. Redaktor Turowicz stojąc za bramką pisarzy pokrzykiwał — „Tempo, tempo, Owłowski”. Ten zaś z niespotykaną kurtuazją ustąpił po pauzie miejsca Kudłińskiemu. Były to zdarzenia jeszcze nie notowane w Krakowie. Aktorzy, którzy, jak wiadomo, nie należą do ludzi zgodliwych, przeciw literatom i tym razem wystąpili solidarnie. Rzućli się na pisarzy z furii, jeden krzyczał: dajcież za łeb, bo reżyser zabrał się do dzie-

ła ostro i Surową załkał wszystkim dziury. Głównym bohaterem jest bohater, który nie ma prawa być bohaterem, bo to jest rzecz z trudną jak na aktorskie możliwości. Słysz się wyrównały. Wynik 5:5.
Ostatnio przyznano w Krakowie nagrody wojewódzkie z Funduszu Kultury. Po 75.000 dla literata, plastyka i muzyka. Otrzymał je Kazimierz Wyka, Ignacy Pięnkowski i Zbigniew Drzewiecki. Należało się im, więc dostali. Oczywiście w świecie artystycznym nie obszedło się bez komeryażu. Trudno je przytoczyć. Naraziłbym się wielu kolegom z oddziału krakowskiego ZZLP, wszystkim plas tykom i kilkuset muzykom. Nie opłaci się jednym zdaniem zrobić sobie tylu wrogów. Zostałbym samotny i zdany wyłącznie na to, warzystwo dotychczasowych laureatów nagród wojewódzkich, bo ci już tylko zazdroścą Iwaszkie wicwicy. Całe szczęście, że ilość nagrodzonych zwiększa się z niesłychaną szybkością. Niedługo już będzie można stworzyć dość liczny oddział, który skupi uhonorowanych pisarzy z odpowiednimi sekcjami. Jak: nagrodzeni „Odrodzienia”, „Odry”, wojewódzcy, miejscy oraz inicjatywy prywatnej. Mój Boże, jakaż by tam panowała harmonia. Chyba, żeby doszła do skutku nagroda państwową Wólcza, to już trudno przewidzieć. Pecunia non olet.
Tadeusz Kwiatkowski

Nagonka na sztukę „Wszyscy moi synowie“

W jednym z teatrów na Broadwayu w Nowym Jorku, przez bez mała rok grano przy zapelnionej widowni sztukę „Wszyscy moi synowie”. Autorem jej jest postępowy dramaturg Artur Miller. Przez stowarzyszenie krytyków teatralnych Nowego Jorku wyróżniona została ona w roku 1947 jako najlepsza sztuka. Uznały ją również za „najlepszą” trzy tysiące aktorów pisarzy i dyrektorów, wśród których przeprowadzono ankietę, organizowaną co roku przez wy dawnictwo teatralne „Billboard”. Autor obrał za temat okres ostatniej wojny i życie fikcyjnego właściciela fabryki, produkującej części składowe do samolotów. Człowiek ten, w pogoni za zyskiem, sprzedaje władzom całkiem świadomie wyroby w złym gatunku, co powoduje zgon lotników amerykańskich.
19 lipca 1947 roku wydział wychowania w urzędzie spraw cywilnych armii USA nabył prawa na wystawienie tej sztuki w Europie.
2 sierpnia 1947 roku socjal-demokratyczne pismo „New Leader” wyraziło obawę, czy armia USA nie popełniła omyłki. Twierdzi ono, że w USA sztuka ta nie może wyrządzić nikomu szkody, „wiadomo bowiem, jak nieważne dla zmagających wojennych były podobne

„propagandą komunistyczną” i „należą do partii”. Posuwa się nawet dalej: ogłasza, że w rękach organizacji „Katolicy — weterani wojny” znajdują się „dokumenty, stwierdzające przynależność Millera do komunizmu”. Domaga się więc „śledztwa, które by pozwoliło wyjaśnić, kto ponosi odpowiedzialność za ten oburzający incydent”.
Blok organów socjal-demokratów „New Leader”, hearstowskiej „New York Journal and American” i reakcyjnej organizacji „Katolicy — weterani wojny” odkryły swoje prawdziwe oblicze.
Według informacji dziennika „New York Times” z dnia 15 sierpnia przedstawiciele wydziału wychowania armii USA „zawiadomili” okupowane kraje (Niemcy, Austria, Japonię i Koreę), że w obecnej chwili sztuka nie odpowiada programowi wychowania”. Według wiadomości dziennika „New York Times” przedstawiciele armii oświadczyli w Waszyngtonie, „że wydział sprawodawczy armii, przejrząwszy sztukę wówczas, gdy wywołała ona zainteresowanie wydziału wychowania urzędu spraw cywilnych po przyznaniu jej nagrody, uznał za niewskazane wystawiać ją za granicą”.

„Zwleścia”, 12.IX.1947 r)

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PRAWO, ADMINISTRACJA	PODRĘCZNIKI SZKOLNE	WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
Biblioteka Prawnicza. Nr. 1. Ustawodawstwo pracy. Do użytku spółdzielni. Opracował Marian Weralski . Warszawa, Związek Gospodarczy Spółdzielni: R. P., 1947; str. 70 i 2 nl.	Władysław Józef Dobrowski . Gramatyka języka angielskiego. Część pierwsza (Fonetyka, słowotwórstwo, semantyka i fleksja) Kłodzko, Cieślawscy, 1946; str. 96.	Był raz... Bajki, baśnie i legendy. Janina Lipska Drużyna słońca Dobronia. Ilustracje: Z. Czaczko i A. Święty . Kraków, L. J. Jaroszewski, 1947; str. 31 i 1 nl.
Biblioteka Tygodnika Gospodarczego. Nr. 7. Jerzy Witowski . Administracja przedsiębiorstwa. Poznań, Wł. Wilak, 1947; str. 28 i 4 nl.	Władysław Józef Dobrowski . Gramatyka języka angielskiego. Część druga. Składnia (syntak). Kraków, Stanisław Cieślawski, 1947; str. 56.	Był raz... Bajki, baśnie i legendy. Witold Zechenter . Bajki o matce. Ilustracje: Z. Czaczko i A. Święty . Kraków, L. J. Jaroszewski, 1947; str. 31 i 1 nl.
	Ewa Maleczyńska . Historia średniowieczna. Wrocław, Książnica-Atlas, (b. r. w.), str. 256.	Artur Marya Swinarski . Odwiedziny smoka. Ilustrował Józef Mroszczak . Katowice, Awir, 1947; 12 knl. str. 58 i 2 nl.
PRZEMYSŁ, HANDEL, TRANSPORT	NAUKI LEKARSKIE	
Biblioteka Tygodnika Gospodarczego. Nr. 4. Jerzy Witowski . Sprawozdanie z przedsięwzięcia. Poznań, Wł. Wilak, 1947; str. 29 i 3 nl. — Nr. 6. Jerzy Witowski . Organizacja transportu fabrycznego. Tamże, 1947; str. 37 i 3 nl.	Wydaawnictwa Instytutu Śląskiego. Witold Włodzimierz Głowacki . Śląsk średniowieczny wzorem dla aptekarstwa polskiego. Katowice, 1947; str. 10.	W poprzednim 39 (148) numerze „Odrodzenia” z dnia 28 września 1947 r.: Helena Wielowiejska : Rozmowa z Julianem Przybosiem. — Julian Przybosi : Zapiski. — Egon Naganowski : Droga Tomasza Manna. — Józef Stotwiński : Moja Biblioteka. — Kjw : Szkola krytyków: Strofa Norwida. — Kronika radziecka . — Stanisław Wygodzki : Milan. — Artur Miedzyrzecki : Wiersz. Epilog. — Minajew : Totale szpiegowstwo w nowym wydaniu. — Exodus 1947. Drugi rozdział: Współczesny odysej. Artur M. Swinarski : W teatrze warszawskim. — Tydzien bibliograficzny . — Henryk Markiewicz : Satory Leona Pasternaka. Kit : Zagadki literackie. — Stefan Wierzyński : Palladium Biblioteki Narodowej uratowane. „ Psalterz florentyński ” i „ Kazania świętokrzyskie ”. — Kazimierz Olszewski : Dzieja i kultura Praslavian. Aleksander Baumgarten : Ślask w oczach przybysza. Marlan Brandys : List z Wybrzeża: Sprawa jednej uczelni. — Kronika filmowa . — Korespondencja (Ignacy Ptazewski). — AMS : Cztery opowieści. — Zródło natchnienia niektórych. Camera obscura . — 11 ilustracji. 8 stron.
PRZEMYSŁ	Wydaawnictwa Instytutu Śląskiego. Tytus Laskiewicz i Felicja Rybniczak . Gliwice — Zabrze — Bytom w okresie lat 1921—1939 pod względem gospodarczym i przemysłowym. Katowice, 1947 str. 27 i 1 nl.	GOSPODARSTWO WIEJSKIE
HISTORIA	J. E. V. Wspomnienia warszawskiego ewangelika z czasów okupacji niemieckiej od 1939 do 1944 roku. Warszawa, 1947; str. 27 i 1 nl.	Dr P. Leszczenko . Ziarno zbożowe. Warszawa, Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P., 1947; str. 30 i 2 nl.

O poszanowanie nazw pamiątkowych

Jest rzeczą nad wyraz przykrą, że na terenie całego kraju niektóre jednostki, korzystając z istniejącej w tej dziedzinie swobody prawnej, używają dla swoich celów prywatnych — nazw historycznych, pamiątkowych, godnych najwyższego szacunku. Krańcowym przykładem takiego postępowania było ochrzczenie w Krakowie nazwą „U Oświęcimiaków” knajpy całkiem podrzędnego gatunku. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy ze znaczenia pewnych nazw i choć pod naciskiem oburzonej opinii publicznej zmieniają je, nie karze się ich za to, a są zbyt gruboskórni, aby odczuć niewłaściwość swego postępowania. Najczęściej są to sprytni gesełciarze, usiłujący w ten sposób pasowżywać na patriotyzmie rodaków.

Ci zaś, którzy mieliby słuszne prawo do posługiwania się takimi nazwami, na pewno ich nie wykorzystują jako sztydu dla swych, takich czy innych interesów handlowych.
Wydaje się rzeczą słuszną, ażeby wkroczył w to prowadząca i stworzył przepisy uniemożliwiające przywłaszczanie sobie nazw, drogich ogółowi obywateli. Zwłaszcza że jeśli chodzi o przybieranie nazwisk historycznych, zastrzeżenia ta, kopczyonno. Jest ustawa z dnia 22 marca 1929 r., ogłoszona w „Dzienniku Ustaw” (r. 1930, nr 3, poz. 16), o zmianie nazwisk hańbiących, ośmieszających lub nie liczących z godnością człowieka. Art. 7 wyraźnie stwierdza: „Wojewódzka władza administracji

ogólnej odmówi zezwolenia na przybranie nazwiska historycznego, popularnego lub rozpowszechnionego.” W rozporządzeniu ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 15 listopada 1930 r. („Dziennik Ustaw”, 1930, nr 89, poz. 702) artykuł ten uzupełniono: „Pod pojęciem nazwisk historycznych i popularnych pod padają między innymi nazwiska znane i zasłużone w historii, literaturze, nauce, sztuce, na polu zasług wojskowych, politycznych itp.” Podobne zastrzeżenia poczyniono w dekrecie z dnia 10 listopada 1945 r. o zmianie w ustalaniu imion i nazwisk.
Sądze, że zakaz przybierania nazwisk historycznych należy rozciągnąć i na nazwy pamiątkowe.
Sławomir Folfasiński

KRONIKA FILMOWA

Niebawem będziemy oglądać na ekranie



„Kopciuszek”: film produkcji radzieckiej



„Paganini”: film z życia wielkiego skrzypka



„Konwój”: amerykański film osnuty na tle losów konwoju płynącego z Ameryki do ZSRR

W NAJBLIŻSZYCH TYGODNIACH

Ukaże się nakładem INSTYTUTU ZACHODNIEGO w ramach cyklu

MONOGRAFIA ZIEM ODZYSKANYCH

DOLNY ŚLĄSK

Przeszłość — Teraźniejszość — Przyszłość

POD REDAKCJĄ:

K. Sosnowskiego, i M. Suchockiego przy współudziale kilkunastu sięciu autorów

Część I, stron ca 500, w tym połowa ilustracji

MONOGRAFIA ODRY

POD REDAKCJĄ PROFESORÓW:

A. Grodka, M. Kiełczewskiej-Zaleskiej i A. Zierhofera przy współudziale wielu

a u t o r ó w

Stron ca 700, w tym liczne rysunki i mapy

K 20°-1

Krótkie opowiadania

KANIKUŁA

Bardzo wysoki Zygmunt Mycielski i bardzo niski Jerzy Broszkiewicz idą podczas nieznośnego upału przez rynek krakowski.

Mycielski staje i pyta Broszkiewicza: — Powiedz no, Jerzy, czy tam u was na dole też taki upał?

SKROMNOŚĆ

Po premierze „Rozdroża młodości” aktorzy w gorących słowach dziękują autorowi za sztukę i rolę.

— Nie mnie dziękujcie — mówi Zawłeski — dziękujcie Panu Bogu, że mi dał taki talent.

„ŁÓZNICA”

Poeta ludowy Andrzej Frasik i poeta klasyczny Ludwik Hieronim Morstin pędzą sapiąc za tramwajem, doganiają go, wskakują na platformę.

— Ale się spocik! — mówi Frasik, — pan też?

— Nie! Transpiłuję...

EROS

Ostatniej wiosny ujrzał mistrz Solski po raz pierwszy śliczną aktorkę Manuę Kiernik. Przyglądał się jej długo, w oczach rozpalły mu się ognie... Ale za chwilę szepnął z westchnieniem:

— Ba! gdyby to człowiek miał znów siedemdziesiąt lat...

MEGALOMANIA DEGRESSIVA

W szpitalu dla obłąkanych. Naczelny lekarz pyta asystenta:

— A jak się ma nasz pacjent z numeru 27, ten, który wprawia sobie, że jest Galczyńskim?

— Nastąpiło u niego znaczne polepszenie. Wmawia sobie już tylko, że jest Różewiczem.

A.M.S.

FALSZERZ

Felietonista dziennika „Słowo Powszechne” (nr 158; dział „Bez ceremonii”) dopuścił się, bez żadnej cery, fałszerstwa. „Camera obscura” zamieściła w nr. 34 kawałek p.t. „Egzageracja”, w którym podała, w brzmieniu dosłownym, wyjątek z listu nadesłanego do redakcji „Rycerza Niepokalanej”.

Felietonista „Słowa Powszechnego”, pan (K.), również przedrukowując ten list, świadomie, na zimno, po fałszerstwie opuścił pewne zasadnicze słowa, stanowiące samą istotę, samo sedno owego listu, a tym samym jedynym powód, dla którego list dostał się do „Camery”, mianowicie słowa „boskie energie atomowe” i na ich miejsce wysunął inne. Oszukał w ten sposób czytelników „Słowa Powszechnego”, aby im wmówić, że „Camera” kpi sobie z przedmiotów kultu religijnego, gdy w rzeczywistości wyśmiane jest za-bawne i niestosowne porównanie, użyte przez prowincjonalnego prostaczka.

Z oszustem nie ma oczywiście żadnej rozmowy. Oszustowi daje się kopsa w najcenniejszą część jego ciała i wyrzuca się go za drzwi, nawet w tym wypadku, jeżeli swoje przedwojenne — faszystowskie i prohitlerowskie — inklinacje przekabacił, z musu czy tchórzostwa, na nietykálną bogobojność.

W prasie naszej, jak wszędzie, są ludzie zdolniejsi i mniej zdolni, inteligentniejsi i mniej inteligentni, wykształceni i ignoranci, mądrzy i głupi, bystrzy i tępi, ludzie różnych partii i różnych poglądów — ale jawny oszust i fałszerz, zniekształcający teksty dla własnej nikczemnej „wygody”, jest u nas postacią całkiem nową. W każdej grze — czy to gra w karty, czy rozgrywka polityczna, czy polemika na jakikolwiek temat — obowiązują zasady „fair play”. Stosują się do niej na całym świecie panowie zwani dżentelmenami. Nie stosują się — panowie zwani łobuzami.

FITLER

„Polska Zbrojna” (nr 235) w rozmowie z Arkadym Fidlerem:

Tymczasem wybuchła wojna. Hitler, kombatan wojny 1914—1918, zgłasza się od razu do francuskich władz wojskowych, by ruszyć do Europy. Niestety musi wraz z innymi czekać kolejnego transportu...

JESZCZE

O EGZYSTENCJALIZMIE

Z artykułu Zb. Bieńkowskiego pt. „Un petit bout (sic) nasze sic, red. „Camery”) de France” („Kuznica”, nr 36):

Jakże ubogo prezentuje się sarkotyczny niepokój męskiego członka wobec nadrealistycznej metafizyki. Komentarzy, tylko osobom dorosłym, udzielamy ustnie w redakcji „Odrodzenia”.

ŚCIANA

„Gazeta Ludowa” (nr 242) o odbudowie sali teatru „Syrena” w Warszawie:

Roboty zaawansowane są dość daleko: wywieziono gruz, naprawiono ściany wewnętrzne i zewnętrzne, kończy się budowę ściany odgradzającej widownię od sceny.

Choć szparkę zostawcie! choć jakąś dziurkę!

MICHEL ANGELO BUONAROTTI 1475—1564

„Express Wieczorny” (nr 260) donosi, że społeczeństwo Szczecina ofiarowało Warszawie

uspianiał posąg Mojżesza — kopię arcydzieła Michała Archanioła. Wjdocznie z uwagi na 29 września (w kalendarzu: Michała Archanioła).

MUZYK

Dr F. M. Nowowiejski w korespondencji z Polczyca („Głos Wielkopolski”, nr 248):

Ze dwa razy na tydzień mamy dancing w sanatorium. Gdy po koncercie w muszli muzyki wnoszą wielki bęben do sali jadalnej, jest to sygnał ogólnej radości i gwałtownego szminkowania się pań. Duża orkiestra, wyposażona we wszelkie jazz-instrumenty, fałszuje czasem niemilosierdzie, tak, że przypominają się „Harnasie”. Ale to nic. Najważniejszy jest rytm.

Por. przypowieść ewangeliczną o pewnych zwierzętach i perłach.

TRAGEDIA AMERYKAŃSKA

Ogłoszenie w „Dzienniku Chicagosome” (15.11.1946):

Z mojej teki

TEORIA WZGLĘDNOŚCI

albo

złoty wiek literatury polskiej za Sasów

Komuż to przyznać, co wiek złoty wrócił?

Bogu! bo ten sam panem jest pokoju;
Wojnę i niechęć domową ukrócił,
Że Polska w krwawym nie nurza się zdroju;
Sarmacka niwa by nie była pusta,
Dał jej dozorcę trzeciego Augusta.

Przy Twoich rządach najjaśniejszy panie Mars i Bellona są wygnani z granic,
Dobroć z hojnością za złoty czas stanie,
Toć nam niechętnych ważyć trzeba za nic;
Każdym posłuszną głowę do nóg skłoni,
Gdy nas jak ojciec piastujesz na dłoni.
I toć Auguste przyznać mogą trzeci,
Za ciebie mądrość w polskie wchodzi progi,
Niejeden orzeł ku słońcu wyleci;
Z tych jaśnień będą senatorskie togi,
Poeta koncept, historyk rzetelne
Opiszą cnót Twych dzieje nieśmiertelne.
Dając ojczyźnie miłości dowody
Za Ciebie panie wielcy ministrowie
Bibliotekę dla wszystkich wygody
Stawiają, któż tu Zaluskich opowie
Chęć, którą mają do nauk wrodzoną
I Polskę całą pragną mieć uczoną.
Więc gdy tak wieki przy Tobie szczęśliwe,
Ze pokój kwitnie, mądrość wprowadzona,
Niechże Ci serca zawdzięczą życziwe
Życząc, by trwała w domu Twym korona:
Krwie Augustowskiej prześwietna linija
Niech polskie pola z koroną nie mija.

(Elżbieta Drużbacka. Applauz Najjaśniejszemu królowi IMCj Augustowi trzeciemu z okazji kwitających nauk w Polsce za panowania jego, zwłaszcza erygowanej publicznej w Warszawie Biblioteki

sumptem I. O. Księcia IMCj Stanisława Kostki Zaluskiego Biskupa Krakowskiego i Jas. W. IMCj Ks. Józefa Zaluskiego referendarza W. koronnego).

Dr Prot Sowizdrzał

Plotki, plotki...

Plotki francuskie

Jean-Paul Sartre czysto sarkotycznym gestem woła do siebie gazeciarza, który stoi w drzwiach. Gazeciarz, który od czasu do czasu bywa także egzystencjalistą, rozumie go w lot. Podchodzi do Sartre'a. (Zapomniałem wam powiedzieć, że wszystko to dzieje się w Café de Flore). Sartre wstaje i szepem mówi coś do ucha swojego współnika. O jakich głębokich zagadnieniach rozmawiają te dwa wielkie umysły?

— Masz papierosy — pyta Sartre.

— Mam — odpowiada gazeciarz. — A po czemu? — pyta Sartre. — Sto dwadzieścia franków.

— Przynieś pudełko — mówi Sartre, i w ten sposób dowodzi absurdalności życia. Potem płaci rachunek, wkłada palto i wychodzi. Nie ucieka od swego przeznaczenia. Wprost przeciwnie. Idzie na obiad zjeść parę potraw czysto egzystencjalnych: szynkę, frytki, ser, deser, czerwone wino, kawę, kieliszek likieru... Nie przestaje ani przez chwilę być zwolennikiem zgnilizny. Potem wraca do swojego spokojnego mieszkania i zasypia spokojnie w ramionach swojej przyjaciółki. Jakto? Kiedy Jean-Paul Sartre znajduje wolną chwilę, aby rozpacz? Czyżby rozpacz swą objawiał tylko w książkach? Czyż przestaje rozpacz, kiedy odkłada pióro.

(Henni Jeanson w „Le Canard Enchaîné”).

Dwie definicje egzystencjalizmu. Jedna jest lapidarna i pióra Yves Gaudou. Oto ona: „Egzystencjalizm

to ekskrementalizm”. A oto druga: „W roku 1920, po wielkiej wojnie, przyszedł ruch dada; w roku 1944, po drugiej wielkiej wojnie, mamy ruch caca”. Autorem tej definicji jest André Gide.

Nemo



rys. Zbigniew Lengren

— Najdroższy, kiedy się pobierzemy?
— Nie wiem.
— Dlaczego?
— Bo jestem egzystencjalista.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przysyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału; zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przekaże nagrodę w wysokości 1000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Muszę się wyprowadzić i grudnia, rozpaczyliwie poszukuje 4-6 pokojowego apartamentu, domu lub mieszkania, na północno-zachodniej stronie. Telefonować Newcastle 0475, po 6 wieczorem. Bognar.

Po co się męczysz w Chicago? Przyjedźcie, Bognar, do Warszawy. Już za jeden milionik można sobie odgruzować i wyprowadzić luksusowy stryszek śród malowniczych ruin... I wszyscy wam będą zazdrościć.

IBI BENE, UBI KACJA

Z odpowiedzi redakcji „Ziemi Pomorskiej” (nr 248):

P. Leokadia Lipczyńska. Pytanie do nas skierowane jest niezrozumiałe. Prosimy o wyjaśnienie, co znaczy: „budowniczy miejski potwierdził, że ten ustęp na mojej realności jest przywołany dla ob. J. G. ssiada” — po czym udzielimy porady.

Przywołanie ustępu do obywatela jest zawsze lepsze, niż przywołanie obywatela do ustępu. Nie mówiąc już o strasznym losie samego przywołanego, inni latorożnicy byłby przecież skrepowani niejako permanentną obecnością takowego w takowym...

NATURALIZM

Z powieści Jana Dobraczyńskiego „Dwa stopy” (str. 20):

„Chciała męża wolę złamać i swojej jej podać, ale jednocześnie ląknęła ze strony mężczyzny po-dania. Każda jego obojętność, to był policzek wymierzony jej kobiecości. Odpowiadała nań potokiem słów pogardy. Chciała znów zmusić tego człowieka, by czuł się u jej stóp, by znów sięgał po owoc miłości nie pełną i stanowczą ręką, ale drżącą z niepewności palcami”.

Hm... Można to było wprawdzie wyrazić inaczej, delikatniej, powiedzmy: dyskretniej, ale skoro jest moda na taki brutalny naturalizm...

DOBRY POMYSŁ

Podpis pod fotografią, przedstawiającą domek („Ziemia Pomorska” nr 248):

Zbudujemy wkrótce chatę o ludzkim wyglądzie.

Bardzo ciekawy pomysł. Lekkie zaniepokojenie budzi w nas tylko sprawa wejścia do tej chatki. Którędy? Którędy?

ŚWIŃSTWO

Fotografia, zamieszczona w „Trybunie Robotniczej” (nr 248), przedstawia zażywną świnię z przyszanymi do niej prosiętami. Podpis pod fotografią brzmi:

Państwowa Żeńska Szkoła Rolnicza w Dąbrowie Zdunskiej koto Łowicza. Kurs trwa i rok. Maciora jest też troskliwą mamą.

Słusznie oburzone wychowawce powyższej szkoły wytaczają redakcji „Trybunie Robotniczej” proces o obrazę. Całym sercem jesteśmy po ich stronie.

DWA TYGODNIE

„Tydzień” (nr 36) w dziale „Kącik językowy”:

Używamy nadto często takich wyrazów obcych, które są zgola niepotrzebne, i świadczą tylko o zmanierowaniu i pseudointeligencji tych, którzy się nimi posługują, nie-rzaz zupełnie ni w pięć ni w dziesięć. Anułowac, admonicja, emulacja, partycypować, zdetonować itd.

„Tydzień” (nr 37) w dziale rozrywek umysłowych:

Wobec tego, że w rysunku krzyżówki L. Jasińskiego, zamieszczonym w poprzednim numerze „Tygodnia” były dwa błędy — więc zadanie anulujemy, przepraszając miłośników działu rozrywek umysłowych.

Anulujemy niniejszym nr 36 „Tygodnia”.

Ukazało się już pierwsze POLSKIE opracowanie przez J. Piłzewskego wydarzeń od Monachium do Poczdamu

P. T.

Druga wojna światowa

Wydawnictwo „POLIGRAFIKA”

K. 199-1 Cena zł 480.—

ŁÓDŹ, ul. Sienkiewicza Nr 18